№ 11. Warszawa, dnia 17 (5) Marca 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota №. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty. Ponownie uwiadamiamy, że numery: 1, 2 i 3 **Prawdy** z r. b. są wyczerpane.

POLITYKA.

ZMIANA HISTORYCZNA.

Dom Hohenzollernów, który niedawno jeszcze był niewzruszoną opoką tronu niemieckiego, ten dom, który zadziwiał Europę zdrowiem i płodnością, który długim szeregiem potomków zapewnił sobie panowanie w odległą przyszłość — nagle tak zaczął walić się, że dziś rozpaczliwie woła za psalmistą: „Panie, skało moja, nie milcz na wołanie moje, bym snadź, jeśli mi się nie ozwiesz, nie stał się podobny zstępującym do grobu." Wilhelm I umarł, jego żona dogorywa, syn dotknięty nieuleczalną chorobą, córka i siostra zagrożone śmiercią, a wnuk? Zdrów dotąd, ale nie zapominajmy, że ułomny i że jest synem człowieka, który mu prawdopodobnie przekazał w spadku chorobę dziedziczną. Nie dość tego: rządy objął Fryderyk III, który pragnąłby im nadać odmienny kierunek i nietylko uchylić się od zasad ojca, leżącego już w grobie, ale od zasad potężnego doradcy tronu, ks. Bismarka, który żyje, posiada nieograniczone zaufanie narodu i w obecnem położeniu przedstawia niezbędnego sternika nawy państwowej. Po za schorzałym, prawie niemym, na bardzo krótkie panowanie skazanym monarchą, stoi znowu jego następca, miniatura dziada i twór kanclerza. Zważmy więc, jak z tych osób i ich stosunków wysnuwa się poważny dramat polityczny: gwałtowna i szybka zmiana ludzi i systemów, a nadto silne ich ścieranie się. Niemcy ze swoją zdolnością przystosowywania się do wszelkich warunków, woleliby każdy ich układ stały, niż przewroty. Wilhelm I przez lat 30 jako regent i król, przez 17 jako cesarz trzymał się pod skrzydłami surowego konserwatyzmu, centralizacyi władzy i ideałów wojskowych; Fryderyk III, humanista i liberał, nie uszczuplając praw korony, przenosi punkt ciężkości w łono parlamentaryzmu, jego syn zaś Wilhelm marzy o reakcyi junkiersko-ewangielickiej. Na której z tych podstaw mają Niemcy oprzeć swoje życie państwowe, swoją przyszłość? Pogodziliby oni się z filozofią polityczną Wilhelma I, gdyby żył, pogodziliby się z wolnomyślnością Fryderyka III, gdyby długo żyć mógł, pogodziliby się z wstecznymi wnukami Wilhelma II, gdyby już panować zaczął. Tymczasem muszą teraz przetwarzać się po jednym systemie, dostrajać się do drugiego z tem przekonaniem, że wkrótce zawładnie trzeci. Zamęt ten potęguje się jeszcze wyjątkowem stanowiskiem faktycznego twórcy i rządcy Niemiec — ks. Bismarka. Oddawna było publicznie wiadomem, że kanclerz ściera się dość ostro z następcą tronu i że wzajem doznaje od niego i jego żony — jak raz dosadnie powiedział — „frykcyj." Frykcye owe, dopóki żył Wilhelm I, nie groziły wszechmocnemu ministrowi żadną porażką, ale dziś nabrały całkiem innej mocy. W liście do niego nowy monarcha z suchą grzecznością daje mu wyraźnie poznać swą *wolę*, nie pytając o *radę*; wola zaś ta, żądająca poszanowania dla konstytucyi, tolerancyi dla wszelkich wyznań, przeróbek w administracyi itd. — odbiega od dotychczasowego, kanclerskiego kierunku. Natychmiast też ona sprowadziła chorobę Bismarka, wysunęła z za kulis d-ra Schweiningera, a niedługo zapewne wywoła prośbę o dymisyę. Czy cesarz ma ją przyjąć? Gdyby Fryderyk III był człowiekiem zdrowym, zdolnym do działania samoistnego i dającym rękojmię energii, mógłby się odważyć na usunięcie od steru człowieka, który zrósł się z Niemcami i używa czci bałwochwalczej. Ale ten monarcha jest ciężko chorym i sam się nie łudzi nadzieją długiego panowania; jeżeli więc od gmachu państwa oderwie kolumnę, na której ono głównie spoczywa, wywoła w narodzie wielką trwogę. Niemiec bez Bismarka trudno sobie wyobrazić. W obecnem położeniu stanowi on most, rzucony od Wilhelma I do Wilhelma II — pod arkadą zaś tego mostu ma ze swym wysokomasztowym statkiem przepłynąć Fryderyk III: czy maszt się schyli lub ułamie, czy arkada runie — zobaczymy zapewne niebawem.

Tak się rysują skutki zmiany na tronie niemieckim wewnątrz państwa. A jakież będą zewnętrzne? Chociaż o znaczeniu zmarłego monarchy inny sąd wyda kiedyś historya, niż dziś nekrologia, chociaż dziejową jego wagę olbrzymio przeceniono, nie można zaprzeczyć, że uosabiał on w sobie pewien system, który szeroko oddziałał na Europę. Zarówno wtedy, gdy uśmierzał powstanie badeńskie, opierał się rozwojowi konstytucyonalizmu, ścigany nienawiścią uciekł do Anglii i wróciwszy z niej sprawował rządy w zastępstwie chorego brata i zawarł spółkę z liberałami, jak wtedy, gdy odziedziczył koronę i ozdabiał ją kolejno w wojnach duńskiej, austryackiej i francuzkiej, przez całe swoje życie był tylko żołnierzem. Nie żołnierzem w stylu wielkich wodzów, bo do tego brakło mu uzdolnień, ale w stylu znakomitych dyrektorów armii. I rzeczywiście przy pomocy dzielnych doradców i pomocników pomnożył ją, wyćwiczył, ukształcił, doprowadził do wysokiej doskonałości. Wojsko zajmowało go ustawicznie i wyłącznie, myśl o niem była ostatnią jego myślą: umierając, mówił o niem, z dumą przypominał sobie dokonane reformy w organizacyi i ruchach, a do trumny kazał sobie

włożyć tylko najwyższe ordery militarne. Naturalnie, że i polityka zewnętrzna musiała być wojskową a znalazł dla niej genialnego mistrza, który, będąc urzędnikiem cywilnym, nie zdjął munduru generalskiego. Armia służy do zaboru lub obrony—i ta więc polityka była naprzód zaborczą, a potem obronną. Ponieważ ze względu na dokonane a niestrawione jeszcze zdobycze i podeszły wiek cesarza zaczepną już być nie mogła, a tymczasem siły wojskowe państw współzawodniczących lub wrogich wzrastały, monarcha niemiecki i jego pełnomocnik wysilali się jedynie na coraz większe potęgowanie armii, ażeby żadna inna dla niej groźną nie była. Wysiłki te, które znajdowały naśladownictwo, utrzymywały w Europie stan niepewności i obawy o najbliższą przyszłość.

Cesarz Fryderyk III nie jest żołnierzem, lecz gospodarzem państwa w duchu zasad angielskich. Chociaż więc armii nie osłabi, będzie się starał łagodzić waśnie międzynarodowe, nakłaniać do częściowego rozbrojenia, do zastąpienia koszar warsztatami pracy. Będzie tedy apostołem pokoju, ale z niewątpliwą chęcią utrzymania tego, co jest i jak jest. Te więc żywioły i te ludy, które ciągną korzyść z istniejącego porządku rzeczy, błogosławią jego wstąpienie na tron; niezadowolone tęsknić będą do— Wilhelma II.

Książe ten ma być reakcyonistą, ale awanturniczym, łaknącym sławy wojennej. Wawrzyny dziadka spać mu nie dają i pragnie opleść swą głowę własnymi. Tak więc Wilhelm I dał Europie militaryzm i oczekiwanie trwożliwe, Fryderyk III — pokój i dążności humanitarne, Wilhelm II — dą reakcyę i wojnę. Ponieważ zaś trzy te prądy spotkają się może w obrębie jednego roku a wyjdą z mocarstwa olbrzymiej siły, ich wpływ zewnętrzny będzie bardzo donosły a jest dotąd tak zagadkowy, że da się zaledwie ująć w ogólnikowe przypuszczenie. Nieraz też jeszcze zapewne wrócimy do jego następstw.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zmiana głowy rządów w Niemczech tak zahypnotyzowała Europę, że zakryła wszystkie inne wypadki lub wstrzymała ich rozwój. Nawet nieśmiertelna sprawa bułgarska zeszła z porządku dziennego. Wszyscy tylko pytają, jakie wyznanie wiary złoży nowy cesarz i jak długo berło trzymać będzie. Wieści zapewniają, że mu podróż nie zaszkodziła, że objawy choroby występują łagodniej; faktem jest wszakże, iż monarcha niemiecki utracił mowę i nawet z królem włoskim przy krótkiem spotkaniu w przejeździe porozumiewał się zapomocą ołówka. Naturalnie pisma wyłącznie używa w stosunkach z ministrami i używać go będzie przy zetknięciu z przedstawicielami dworów zagranicznych, wysłanymi na pogrzeb nieboszczyka. Z unikania wszelkich przyjęć a nawet z odmówienia sobie odwiedzin zwłok ojca, wnosić można, że ces. Fryderyka nie opuszcza obawa o życie.

Zaraz po przybyciu do Charlotenburga, gdzie dotąd pozostaje, wydał odezwę do narodu i list do kanclerza. W pierwszej wypowiada tylko żal nad grobem rodzica, wynosi jego zasługi, czci pamięć i obiecuje dalej prowadzić jego dzieło. W piśmie do Bismarka uwiadamia go, jak rządzić będzie. Pismo to, grzeczno-zimne a przytem bardzo stanowcze, zatarło zupełnie ślad doniesień o spotkaniu ministrów z monarchą w Lipsku, dokąd wyjechali dla powitania go. Cesarz miał ucałować Bismarka rozpłakanego i zaprosić go do swego wagonu. Wiadomość o tych serdecznościach, roztelegrafowana skwapliwie, napełniła serca niemców niewysłowioną radością, bo uwalniała ich od obawy starcia między panującym, którego lubią i słuchać muszą, a kanclerzem, którego ubóstwiają. Ogłoszony w *Reichsanzeigerze* list zgasił tę nadzieję. Cesarz wzywa wprawdzie „najwierniejszego sługę i doradcę“ nieboszczyka, któremu powinien objawić swą wolę, ale tylko wtajemnicza go w swoje zamiary i darzy bardzo skromnem uznaniem. Całą zasługę zjednoczenia Niemiec i dźwignięcia państwa na szczyt obecnej potęgi przypisuje ojcu, nie wspominając ani słowem o udziale w tej pracy ks. Bismarka. Kanclerz jest zbyt drażliwym, zbyt nawykłym do uznania swej naczelnej roli i zbyt świadomym swej chwały, ażeby go to mogło nie dotknąć głęboko. Jako dyplomata przemilczy urazę, pozornie ukorzy się, ale niewątpliwie da poznać swoją dumę i dziś już szepcze: *quos ego!* Dawniej za zgodą swego pana rządził i ciskał pioruny ze swych dworów wiejskich; teraz musi przesiadywać w Berlinie, ale, ubezpieczając się przeciwko konieczności częstego obsługiwania pana nowego — choruje.

Nie wymknął się powszechnej uwadze fakt, że ks. Wilhelm nie wyjechał na spotkanie ojca z ministrami. Utwierdziło to jeszcze bardziej wiarę w naprężone stosunki między ojcem a synem — wiarę, która obciąża piersi niemców bolesnym smutkiem. Skończyły się też piękne dni dla Berlina; zawisła nad nim czarna chmura a kir pogrzebowy nie jest jedynym objawem żałoby narodu.

Pogłoska zapowiada dymisyę dwu najreakcyjniejszym ministrom — Puttkamerowi i Goslerowi. Rzeczywiście nie pasują oni do liberalizmu cesarza, ale trzeba zważyć, że dotąd mianował i usuwał ministrów ks. Bismark. Pytanie zatem, czy on nie postawi swego *veto* i czy — jak donoszono — nie zwiąże losu towarzyszów ze swoim. Bądź co bądź, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że władza Bismarka straciła lub straci na rozmiarze — przestanie on być faktycznym rządcą Niemiec i — jeżeli pogodzi się z tem ograniczeniem — pozostanie przy tece ministra spraw zagranicznych, co zresztą już gazety przebąkują.

We Włoszech zmarł kardynał Czacki, polak. Miał on posiadać wielki głos w Watykanie. Jest to albo z wiatru zwinięty frazes, albo też nieboszczyk nie zbyt pamiętał o pniu, z którego wyrósł, jeśli nie przeszkodził Leonowi XIII w podrąbaniu tego pnia niemiecką siekierą. Pisma nasze dość bezmyślnie powtarzają bajkę o wielkiem znaczeniu dostojników kościelnych przy papieżu, w jego bowiem czynach nie można odnaleźć śladów tego wpływu, naturalnie pożądanego. Być może jednak, że kardyn. Ledóchowski i Czacki, zgodnie ze swym zwierzchnikiem dbają wyłącznie o interesy kościoła beznarodowego. W takim razie gotowiśmy uznać ich znaczenie.

---

3)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

II.

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

SCENA VI.

Wiszar, później Cecylia, Justyn i Regina.

Wiszar (sam).

Boję się omyłki... Biedna Cecylia.

Cecylia (wbiegając).

Braciszku drogi... co to? Jesteś smutnym, a ja dziś potrzebuję, ażebyś był wesołym. Pan Kreisler już poszedł?

Wiszar.

Już. Czego chcesz, moje dziecko?

Cecylia.

Może ja źle zrobiłam... Ale ty mi poradzisz... prawda?.. Chociaż co mi poradzisz? Osądzisz tylko serce moje... Powiedz, że ono się nie łudzi, że w miłości pełnym kwiatem się rozwinie i w rozczarowaniu pączkiem nie zwiędnie; powiedz, że jego drgnienia szczęśliwą przyszłość mi wróżą. Ach, jak mnie radość — boli!

Wiszar (całując ją).

Czy ty go bardzo kochasz?

Cecylia.

Skąd wiesz o tem?

Wiszar.

Wiem. A on cię bardzo kocha?

Cecylia.

Trwoga rozpuściła po mnie wszystkie swoje dreszcze, gdy sama siebie o to pytałam. On tak mówi, on tak patrzy, on prosi...

Regina (wchodząc z Justynem).

Widzisz pan, uchwyciła się brata, jak krzyża przed pokuszeniem.

Wiszar.

Będę ją bronił.

Justyn (podając mu rękę).

Nie wyglądam na szatana. Ojciec mój odjechał?

Wiszar.

Przed chwilą.

Justyn.

Dziwi mnie; miał do pana interes, ale i wspólną ze mną prośbę o rękę siostry pańskiej.

Wiszar.

On miał tylko interes.

Justyn.

W takim razie mnie samemu racz pan odpowiedzieć, czy pozwolisz, ażebyśmy z panną Cecylią się kochali?

Wiszar.

Z mojej strony nie zachodzi żadna przeszkoda.

Justyn.

I ażebyśmy się pobrali?

Wiszar.

Również, jednak — to nastąpić nie może.

Justyn.

Nie może?

Cecylia.

Aureli!

Regina.

Czemu?

Wiszar (do Justyna).

Jan pan zapewnie słyszałeś, zakładam fabrykę, której robotnicy, oprócz płacy, będą mieli współudział w zyskach. Otóż ojciec pański, widząc w tem moją zgubę i niebezpieczeństwo dla innych przemysłowców a między nimi i dla siebie, zażądał ode mnie wyrzeczenia się tej myśli; gdy zaś ustąpić nie chciałem, oświadczył mi, że małżeństwo pańskie z Cecylią jest niemożliwem.

Regina.

A!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Spowiedź Lwa Tołstoja. — Do innego żywota. — Wstydzący i niewstydzący się żebrać. — Krasiński własnością filaretów. — Miłość przez cały wieczór.— Uniwersytet papieżowi. — Wniosek ministra oświaty. — Głosy za i przeciw. — Wiec akademików krakowskich i co na to senat powiedział. — Gorzelnie i propinacye. — Teatr. — Powódź.

Wypada mi przeprosić czytelników za jednostajność mego korespondencyjnego jadłospisu; radbym wybrać co innego, a tymczasem zawsze na pierwsze danie przychodzi — jezuita. Niechaj mnie post usprawiedliwi. Tym razem nie będzie nim ks. Załęski, który w tej chwili odprawia rekolekcye za biletami, ale ks. Morawski S. J., który wystąpił z odczytem p. t. „Spowiedź ruskiego pisarza Lwa Tołstoja.“ Wyznania Tołstoja, ogłoszone drukiem w języku francuskim, a później i ruskim, posłużyły czytającemu za źródło, nazwał je też głęboko odczutą, na nauce opartą walką ducha i postawił na równi z wyznaniem św. Augustyna. Jako pisarzowi, przyznaje mu wiele zalet: styl jędrny, wzruszający w swej prostocie i szczerości, z którego przeziera prawda, nieobrzucona choćby gazą fałszywego wstydu. Licznie zebrana publiczność słuchała rozpaczliwych jęków duszy w pogoni za prawdą, aż wreszcie dowiedziała się, że Tołstoj prawdy nie dogonił, ale natomiast z wytrawnego myśliciela przemienił się w apostoła sekty. Następuje długi ustęp o sekciarstwie, o tych pustych, zimnych grobowcach na szlaku kościoła. Koniec końcem — mówi ks. Morawski S. J. — żywot ziemski może mieć tylko wtedy sens, jeżeli go się pojmie jako próbę i wstęp do innego, nieskończonego.

Tak a nie inaczej pojmują go tu ofiary głodu i ciężkiej zimy, o cerze ziemi, trzęsące się w postrzępionej bieliźnie; ręce pozbawione pracy wyciągają rozpaczliwie, czy błagalnie ku górze — i nie na darmo: patron głodnych i zmarzniętych, tyfus plamisty ujmuje litościwie wychudłą dłoń i uprowadza do innego żywota. Magistrat, chcąc okryć tę nagą prawdę, wystosował odezwę do mieszkańców, wzywając do składania bielizny i odzieży dla ofiar zimy; po ulicach krążyły wozy miejskie i wrzucano w nie mało bielizny, ale dużo współczucia. Robi się wszystko co można, śpiewa i deklamuje na czysty dochód dla biedy; robi się nawet więcej, kwestujące panie z towarzystwa à Paulo piętnują w dziennikach tych, którzy nic nie wrzucili do kosza miłosierdzia, a nędza rośnie w prostym stosunku do ofiarności. Kiedy czytasz spisy składek, kiedy słyszysz nazwiska nieskąpiących strawy i kąta ciepłego, spotkasz obok powołanych i takich, którzy sami walczą z niedostatkiem, odejmują z talerza sobie i rodzinie, spotkasz różne wyznania i narodowości, wyczytasz nawet nazwiska księży, ale nie zetkniesz się nigdy z ofiarnością tych bogato wyposażonych klasztorów, których w Krakowie bez liku. Gmachy rozległe pomieściłyby mogły rodziny wyrzucone na bruk zamarznięty, kuchnie dostatnie użyczyćby mogły ciepłego mleka skostniałemu dziecku, a za maluchną cząstkę kapitałów *leżących* odziać by można wszystkich zziębniętych.

Przerywam, bo słyszę wystrzały korków z szampańskiego wina: to *Filareci* ze swoimi profesorami bankietują „Pod różą“; zadowoleni, że Krasińskiego wzięli na wyłączną własność, dumni z wieczoru, jaki na dochód budowy pomnika urządzili, wznoszą kielichy na cześć wspólności krwi, tradycyi i idei. Wieczór odbył się w sali teatru po cenach zdwojonych, wśród publiczności arystokratycznej, z domieszką kilku profesorów uniwersytetu. Prezes „bractwa“ wypowiedział słowo wstępne, w którem podkreślił, że filareci nie są przedstawicielami ogółu młodzieży, ale przedstawiają tylko samych siebie. Uwaga bardzo słuszna. Na pytanie uczynione ogółowi, dlaczego dopiero dzisiaj, po 29 latach, pamięć Krasińskiego doczekała się po raz pierwszy publicznego hołdu, odpowiada sam prezes bractwa, podając za przyczyny: niespełnione obietnice poety, jego zasady i dążenia, prawdę wypowiadaną otwarcie, społeczne stanowisko, hrabiowski tytuł itd.

Następujący numer programu wypełnił następujący filaret objaśnieniem nieznanych dotąd ustępów w listach Krasińskiego do Delfiny Potockiej, z czego wydobył wniosek, że niewiele kobiet w świecie odbierało listy równe tym, jakie Zygmunt pisywał do Delfiny!...

Ale koroną całej uroczystości — zdaniem *Czasu* — był odczyt hr. Stanisława Tarnowskiego, który nie mogąc go wygłosić osobiście, przysłał do komitetu list, pełen wzniosłych uczuć i głębokich myśli. Gdzieindziej przeszłoby to bez wrażenia, ale u nas, list hr. S. T., jakikolwiek, ma znaczenie doniosłe, historyczne. „Czas przesiał jego słowa przez swój przetak i niejedno z nich okazało się złudnem; ale kiedy wielu *wszystkie* chce odrzucać i zaprzeczać, dobrze i należy to, co prawdziwe brać do serca, wyznawać głośno i w tem wyznaniu starszym z młodymi się łączyć.“ Odczyt był zatytułowany: „Miłość w poezyi Krasińskiego.“ I tu wychodzi Delfina, opatrzona komentarzem, niestety po to tylko, aby ustąpić miejsca nowej miłości, zdaniem prelegenta, ostatniej i najlepszej w jego życiu. To miłość Krasińskiego dla żony. Nazywając poprzednią namiętnością, tę ostatnią chrzci mianem adoracyi, miłości tak wielkiej, tak potężnej, szlachetnej wysoce i tak już nadziemskiej, że wyrobić ją mogło tylko — chrześciaństwo, że zdobyć się na nią mógł jedynie — chrześcianin.

Oklasków nie szczędzono, ale żal był wielki, że tej piosnki milosnej nie mógł wydzwonić sam złotousty. Przez cały wieczór, poświęcony pamięci poety, nie mówiono o niczem innem, jak tylko o tem, że kochał dwie kobiety, naprzód jedną, potem drugą.

Dochód przeznaczony na wzniesienie pomnika dla Krasińskiego; p. Rygier podjął się bezinteresownego wykonania.

Ten zapał tłomaczy się błogosławieństwem, jakie przysłał papież w odpowiedzi na adres uniwersytetu jagiellońskiego. Ach, prześliczne to było wypracowanie, pozwolę sobie przytoczyć choćby ustęp krótki: „Z całym katolickim światem pospołu, my niżej podpisani rektor i profesorowie uniw. Jagiell. w Krakowie, składamy u stów Waszej świątobl. wyznanie wiary naszej, hołd naszego posłuszeństwa i przywiązania. W długim szeregu namiestników Chrystusowych jaśniejesz Ojcze św. nietylko szczególnem nauk zamiłowaniem i znajomością, ale co większa, szczególnym darem i łaską do nauczania i wskazania, jak wiedza ludzka przyrodzonymi środkami rozwijać się i wzmagać ma prawo, a z prawd bożych objawieniem zgadzać się ma nietylko obowiązek, ale i wszelką możność“ (!.?). W dalszym ciągu uważa uniwersytet, że dzisiaj nauki mało są przejęte i ożywione duchem chrześciańskim, że przeczenie prawd bożych biorą za cel i istotę swoją. Kończy zaś przysięgą, którą składa na wierność Leonowi XIII.

Justyn.

Ta sprawa ma spaść między nas mieczem? Od kieszeni do serca jest tak daleko, że nawet prawo ojcowskie dorzucić swej władzy do niego nie zdoła.

Regina.

Masz pan sposobność tego dowieść.

Justyn.

Darujcie państwo, że natychmiast odejdę i z ojcem się porozumię. Jestem pewien, że nieopatrznych wyrazów już żałuje. (*do Cecylii*) Pani moja, nie cierp przez ten krótki czas, zanim wrócę (*wychodzi*).

Regina.

Największem morzem ziemi jest ocean mętnego samolubstwa, z którego współczucie wynurza się tylko drobnemi wysepkami. Zacznij tkać cokolwiek z czystej przędzy serca, świat ci zaraz osnowę potnie i potarga lub wplecie w nią swoje brudne nici. Albo pij krew ludzką, albo truciznę! Przez najpiękniejsze i nastaranniej wypielęgnowane kwiaty twego życia przejdzie obładowany egoizmem osioł i zdepcze je, przejdzie wieprz łakomy i zryje. I to są ludzie, którzy nie oddalili się jeszcze od zwierząt na długość kroku uczciwego człowieka. (*do Cecylii*) Nie rozpaczaj jeszcze, niewinny aniele, dopóki on cię nie zawiedzie... Wtedy powiedz sobie, że nie Justyn cię kochał, ale nieszczęście.

Cecylia

Tylko nieszczęście... I co ja winnam losowi, że mnie uczynił magnesem złego? Najlepszy ojciec musiał się przede mną ukrywać, a gdy go znalazłam i poznałam, musiał uciec; nędznik chciał mnie ukraść i zbrukać, chociaż na mojej duszy mniej było plam, niż kurzu na lilii wodnej; uczciwy człowiek, którego pokochałam, chciał mnie poślubić; zakazują mu. A może się jeszcze dowiem, że on mnie nie kochał, tylko... rachował? Ach, co za piekielna moc upodobała sobie łzy moje! (*płacze*). Przepraszam was za te jęki... Nie patrzcie na mnie—wyglądam jak łodyga kartoflana, wyrosła w piwnicy i daremnie wspinająca się ku okienku, ażeby ujrzeć światło; marna, nędzna żebraczka, błagająca o promyk szczęścia... Nie patrzcie na nią... Smutki obsiadają mnie, jak chrabąszcze młodą latorośl, z której ogryzają wiosenne liście... Biedna jestem i wstrętna (*wybiega*).

SCENA VII.

Wiszar i Regina.

Wiszar.

Więc Justyn może się cofnąć, a Cecylia może paść ofiarą tego rozdziału, jeśli ja w urządzeniu fabryki nie skrzywdzę robotników? Potworna logika życia! Według niej koniecznie musi ktoś cierpieć — dlaczego musi? Zdawałoby się, że zdrowy rozsądek i czyste sumienie mają w cywilizowanym świecie utarte drogi, a one co krok wpadają na jakieś kręte manowce i trzęsawiska. Kochana Regino, uciekajmy stąd, ja się zbłąkam, zginę w tej puszczy, zarosłej gęstemi szachrajstwami.

Regina.

Trzeba ją przerąbywać, karczować...

Wiszar.

To praca nad siły ludzkie.

Regina.

O, mój rycerzu, jeszcze nie rozpocząłeś walki, a już komenderujesz do odwrotu. Za wcześnie! Nie zniechęcaj się: tu, w Europie, jest źle, u nas w kraju bardzo źle, ale tu jedynie można staczać i wygrywać wielkie bitwy. Tęsknisz do Afryki, do ludzi pierwotnych, prostych... Może śród nich spokojniej, wygodniej, nawet uczciwiej... ale tam życie, w stałem kole zamknięte, promienia swego już nie wydłuża, tam rozwój nie biegnie w dal nieskończoną, tam świat wyrównanych uczuć i myśli zastygł i znieruchomiał. Tu ścierają się potęgi przeciwieństw i olbrzymy sił wrogich, tu mądrość i głupota, cnota i niegodziwość, poświęcenie i samolubstwo mają wielką miarę, tu więc nietylko walka odbywa się wspanialej, ale i jej rezultaty są donioślejsze. Tu żyć warto, tylko trzeba mieć ideę i w obronie jej nie wypuszczać miecza z ręki.

Dziwne to łakomstwo ludzkie! Papieskie błogosławieństwo senat zagarnął dla siebie, nie udzieliwszy z niego młodzieży ani cząstki. Proszę posłuchać. Rok rocznie nowowstępujący rektor, w uroczystem przemówieniu wzywa młodzież pod opiekuńcze skrzydła *Almae matris*, wskazuje profesorów jako najrzetelniejszych przyjaciół i doradców, do nich każe udawać się w chwilach zwątpienia — oracye te są zawsze na jeden temat.

Akademicy krakowscy, szanując gronostaje i birety, słuchają, ale nie wierzą, bo ilekroć z młodzieńczą szczerością, pełni zaufania w biblię senatu, zbliżyli się do swoich mistrzów, odeszli zawiedzeni, rozgoryczeni życzliwością, której dowody dostawały się gwiaździstym filaretom.

W ostatnich tygodniach wydarzyły się jakieś swawole na uniwersytecie w Gracu; skorzystało z tego niepopularne już ministeryum Gautscha i wystąpiło z reformą ustaw akademickich, a w szczególności zgromadzeń i stowarzyszeń *).

Nowa ustawa miała znieść zupełnie wolność i przywileje obywatela-akademika. Podniosły się różne głosy przeciw ministrowi, posłowie żywo się zajęli nowym wnioskiem a deputowany Pernerstorfer, stając w obronie młodzieży uniwersyteckiej, w dosadnych słowach wskazał na drogę, po której złe chodzi i kto się dopuszcza swawoli. To „złota młodzież,“ członkowie t. z. klas wyższych; ogół, to ludzie pracy, którzy poważnie stąpają po szczeblach nauki. Tego samego dnia był zamach na nietykalną osobę posła, a władze bezpieczeństwa, do których się uciekł, za całą odpowiedź dały mu radę, by się zaopatrzył w rewolwer!.. Wśród tej burzy wzleciał nad parlamentem gołąbek, z różdżką pojednania; to mowa profesora Bobrzyńskiego. Uważa on projekt za odpowiedni, a nawet i konieczny, żąda tylko niektórych zmian w ustawie, o ile ona wykracza przeciw zasadzie autonomicznej. I tak: domaga się wykreślenia zakazu należenia do innych stowarzyszeń nieakademickich, tembardziej, że uczniami nadzwyczajnymi bywają często mężowie, zajmujący wyższe stanowiska publiczne, którzy zapisali się na jakiś wykład szczegółowy; odjęcia nadzoru policyi a oddania go wyłącznie senatowi; równie radzi wykreślić paragrafy, zakazujące młodzieży rozprawiania w przedmiotach politycznych, w czem nie widzi niebezpieczeństwa, ale widzi je w tworzeniu stowarzyszeń politycznych i w manifestacyach tego zakroju, co właśnie należałoby ustawą zabronić.

Młodzież uniwersytetów austryackich wysłała adresy do swoich deputowanych z prośbą o obronę zagrożonych praw i wolności. I tutejsza, idąc za przykładem kolegów, na licznem zgromadzeniu wybrała trzech z swego grona, którzy zanieść mieli prośbę przed „Koło polskie.“ Tłomaczyli się jasno. Ustawa nowa, wywołaną została wypadkami na uniwersytecie wiedeńskim i w Gracu, a rozciągać się ma na wszystkie; młodzież innych wszechnic nie dała powodu do przedsiębrania przeciw niej podobnych kroków, nierada cierpieć za cudze winy i praw swych ograniczać i umniejszać, dobrowolnie pozwolić nie może. Zwracają uwagę, że ustawa ta wyda najzgubniejsze skutki, bo popchnie młodzież do tajnych stowarzyszeń. Przekonani, że Koło polskie z ojcowską troskliwością dbać winno o rozwój dojrzałej polskiej młodzieży, o rozwój prosty, szczery, otwarty, nie tajnemi drogami chodzący, pełni są nadziei, że za uchwaleniem nowej ustawy głosować nie będzie...

Ale stała się rzecz niespodziewana. Senat akademicki oznajmił studentom, że ktokolwiek poważy się wyjechać w tej sprawie, zostanie wykluczony. Wobec tej groźby, akademicy zwolnili kolegów od wykonania uchwały zebrania—ale stała się rzecz spodziewana, wybrani pojechali do Wiednia.

Sprawa ta zajęła ogół, pytają jak się to skończy, czy senat dotrzyma groźnej obietnicy, jak się zachowa młodzież?..

Teraz przyznacie, że papieskiego błogosławieństwa młodzieży nie dostała się ani cząstka. Ale to nie największe zmartwienie — ten projekt ministra — Galicyę spotkał cięższy cios w postaci podwyższonego podatku od wódki i piwa. Przedmiot to żarliwych obrad, przyczyna tworzenia odrębnych komisyj, chwila stanowcza do wypowiedzenia: z rządem czy przeciw? Gorzelnie i propinacye ratować mają budżet państwa. Taka marna wódka odgrywa dziś poważną rolę w parlamencie i wymowniejszą jest od niejednego posła.

Słów parę o teatrze, który na kilka przedstawień użyczył swej sceny ruskiemu towarzystwu dramatycznemu. Krakowianie, którzy nie znali rusinów, ich muzyki i języka, dziwili się wszystkiemu bez miary, dość że zasilili kasę kompanii wędrownej, która przedewszystkiem grosza potrzebowała, bo głód i chłód zaczęły urągać staropolskiej gościnności.

Sykaniem i oklaskami powitano nową komedyę p. Rzewuskiego. Sprawozdawcy *Czasu* zarzucają autorowi, że wystawił komedyę z osobami, które nie istnieją w społeczeństwie polskiem, a przyprawiwszy pesymizmem, stworzył rzecz niemożliwą, stanowczo nie polską. Mnie się zdaje, że te „dzieci“ wcale nie cudze, ale nasze własne dzieciaczki, zołzowate i wcześnie przetrawione dziedziczną chorobą; albo hr. Daniel Osiecki z wstrętną twarzą i szpetniejszym mózgiem, czy obcy? Proszę spojrzyć na przedstawicieli galicyjskiej arystokracyi, nie jeden Daniel, ale co drugi Daniel. Sprawozdawcy *Czasu* widocznie nie przykładali oka do dziurki od klucza, inaczej poznaliby swoich.

Częściej w powieści i w melodramacie, niż w życiu, spotykamy się z cnotą tryumfującą, z występkiem ukaranym, z głupotą ośmieszoną, z próżnością zawstydzoną, z uznaniem dla pracy; z pierwszem i z ostatniem spotkaliśmy się niedawno w teatrze, z okazyi benefisu p. Kałużyńskiej. Nie było wymizganego zapału, ani kupionych oklasków, witano szczerze, od serca, artystkę, na której sprawdziła się część całości spotykanej od czasu do czasu w powieści i w melodramacie.

Smutną mam wiadomość na zakończenie. Wisła wylała, setki rodzin bez dachu, bez chleba, bez zapasów, bo woda zniszczyła wszystko. Kraków wytrwale spieszy z pomocą, ale nieszczęście bardzo wielkie!

Mor.

*) Pisaliśmy o tem. *Red.*

BADANIA NAUKOWE.

ECHA MESYANISTYCZNE
w Literaturze polskiej.

V.

Nemezys dziejowa przyspiesza rozwój kwiatów mesyanizmu. — Pierwsza ewangielia Kazimierza Brodzińskiego.

Szczególna kolej wypadków politycznych, przypominająca zdaleka równoległe fazy

Wiszar.

Regino, jak ty umiesz ciągle — myśleć...

Regina.

Dziwne to, zwłaszcza w kobiecie, która jednocześnie bardzo kocha. Odziedziczyłam usposobienie ojca i prawdopodobnie, jak on przy końcu życia, rozpłynę się w uczuciu i umrę na serce. Tymczasem odwagi, drogi mężu!

Wiszar.

Gdybym przynajmniej zdołał odwrócić cios od Cecylii! Ta gołąbka nie powinna ginąć ani dla siebie, ani dla mnie, ani dla ojca, któregoby rozpacz zagryzła.

Regina.

Justyn jej jeszcze nie zawiódł.

Wiszar.

A jeżeli ją porzuci?

Regina.

W młodych sercach kobiecych zwykle rany od strzał miłości goją się szybko.

Wiszar.

A jeżeli ta się nie zabliźni i Cecylia zapadnie w chorobę piersiową, której oznaki kilkakroć już groźnie wystąpiły?

Regina.

Wtedy ty ustąpisz staremu Kreislerowi, który jest niegodziwcem i młodemu, który będzie kpem, niegodnym Cecylii? Powiedz mi szczerze, czy tego pragniesz.

Wiszar (*po chwili milczenia*).

Nie, Regino, nie ustąpię. Było to ostatnie moje wahanie, które mi przebacz (*całuje ją w rękę*). Ale bądź dobrą, idź do niej, uspokój to nieszczęśliwe dziecko.

Służący.

Hrabia Scibor.

Wiszar (*do Reginy*).

Ja tego pana wcale nie znam.

Regina.

Poznaj go — to wielki pan, przewodniczący komisyi dobra społecznego, prezes sądu przysięgłych opinii publicznej, minister moralności i tak dalej. Osoba bardzo dostojna (*odchodzi*).

Wiszar (*do służącego*).

Proś.

SCENA VIII.

Wiszar i Hr. Scibor.

Hr. Scibor.

Jestem Scibor, właściciel fabryki papieru, liczący w przyjściu tu na wielką pańską pobłażliwość.

Wiszar.

Do czego moja pobłażliwość może być panu potrzebną?

Hr. Scibor.

Miałbyś pan najsłuszniejsze prawo poczytać mi za zuchwałość, że całkiem mu nieznany, a nawet ze swego stanowiska społecznego niemiły, poważam się przyjść ze śmiałym celem sprawy, którą pan uważasz za własną, a ja za publiczną, mianowicie sprawy ustroju fabryki pańskiej. Słyszałem, a przed chwilą Kreisler mnie w tem upewnił, że fabryka ta ma być urządzona w sposób niezwykły, stanowić rodzaj spółki z robotnikami, którzy do niej nie wniosą żadnego kapitału...

Wiszar.

Kapitał pracy.

Hr. Scibor.

Podwójnie procentujący: w zapłacie poręczonej i w zysku prawdopodobnym, uwolnionym od niebezpieczeństw ryzyka. Nadzwyczajnie wygodne i korzystne przedsiębiorstwo dla robotnika, ale nie dla pana.

Wiszar.

Pogodziłem się z tą moją niewygodą i niekorzyścią.

Hr. Scibor.

Przepraszam, że potrąciłem osobistą stronę kwestyi, ale może staremu, doświadczonemu, ze stosunkami przemysłowymi obeznanemu, pan, człowiek młody i niedawno do Europy przybyły, wybaczysz jeszcze kilka uwag. Ale czy nie nadużyję cierpliwości pańskiej?

Wiszar.

Słucham chętnie.

history francuskiej — szereg nagłych przewrotów połączonych z nimi wstrząśnień, jakich znał naród w ciągu lat czterdziestu (17[illegible]1—1831), wywołuje szybki rozwój zawiąz[illegible] w mesyanizmu i ustala wiarę w wyjątkow[illegible] posłannictwo lechitów. Jak duch dziejó[illegible] zmienny grał na strunach czułego wiesz[illegible]w serca, świadczy wspomniana już *Sybilla* i *Hymn* Woronicza. Inwokacyę, zwróc[illegible]ą do „wyroczni hesperyjskich krajów,“ p[illegible]zenika nawskroś ciężka atmosfera epoki trzeciego rozbioru:

> Pozwól mi twe siedliska nowe uczcić pieniem,
> I pamięć zgaszonego narodu z imieniem
> Unieść w szanownych zwłokach w twój tajny przy- [bytek —
> Urągowisko obcych, naszych łez zabytek!

Hymn, usnuty w r. 1805 — po napisaniu *Sybilli*, ale na kilkanaście lat przed jej ostateczną ogładą i drukarskiemi narodzinami — świeci przedzierającym się przez chmury promieniem nadziei („kości spróchniałe, powstańcie z mogiły!“), chociaż nie widać, żeby blask i wielkość gwiazdy napoleońskiej olśniewały poetę. Ostatnie natomiast wiersze *Sybilli*, uwieńczone chłodną wróżbą na temat bajecznego „zrodzenia Rzymu“ przez Troję, są wyrazem krótkotrwałej seryi marzeń z pierwszych lat królestwa kongresowego.

Ważnem w tej sprawie ogniwem pośredniem jest emigracya i skrzydlate a obłąkane jej dziecię — legiony. Pogoń tłumów polskich „za duchem matki,“ wynikająca ze smutnych faktów i gorączkowego nastroju społeczeństwa, sprowadza wykolejonych na manowce, ale zarazem podnosi we własnem mniemaniu i w archanielskie przyobleka szaty. Owoc ostatnich lat wieku osiemnastego, spożyty chciwie przez dorastające pokolenia, wytwarza przy pomocy współczesnych prądów potrzebę dalszego po drodze mlecznej ruchu, a idealizm filozofów niemieckich i poezya romantyczna zaopatrują gromadkę w broń i żywność duchową. Jest to chwila rozkwitu pielęgnowanej od dawna idei.

Kazimierz Brodziński, który jako tłomacz obcych arcydzieł, estetyk i skromny, wchodzący w przymierze z ludem śpiewak, poezyę polską na nowe wprowadził tory, występuje pod koniec życia w charakterze arcykapłana i proroka. *Mowa o narodowości polaków*, zakomunikowana szczupłemu gronu wybrańców umysłowych (Towarzystwu przyjaciół nauk) w dniu 3 maja 1831 r., jest czemś w rodzaju ody nierymowanej, toastu ewangelicznego lub wieńca z laurów i cierni na głowę zbratanej z Chrystusem „jedynaczki“ bożej. W ogólnej definicyi organizmu społecznego, stanowiącej logiczną podwalinę niewielkiej, jednoarkuszowej całości, tkwi ślad studyów nad filozofią Hegla. „Naród — mówi Brodziński — jest wrodzoną *ideą*, którą członkowie jego, w jedno spojeni, urzeczywistnić się starają.“ „Losy doznane stanowią jego charakter. Bóg chciał mieć narody, jak ludzi, indywidualnymi, przez co na całą ludzkość wpływają i potrzebną tworzą harmonię. Jak cnoty domowe są podstawą narodowych, tak te są zasadą miłości całego społeczeństwa (rodu ludzkiego). Cała różnica między narodem a człowiekiem jest, że człowiek może zginąć dla narodu, ale naród dla ludzkości nie może wtenczas, gdy ma swoje sumienie, gdy się czuje narodem.“ Poeta głęboko jest przekonany o nieśmiertelności narodu — jakby nie wiedział o zniknieniu etrusków, fenicyan i kartagińczyków, o równem niemal skonowi, fatalnem skarleniu starożytnej Grecyi, że nie wspomnę o lutykach, obotrytach, pobratymcach Litwy — prusakach i ludach celtyckich, które już to zginęły bez wieści, już to w silniejszych rozpłynęły się zbiorowiskach. Polskę, naturalnie, stawia prorok ponad wszystkie narody. Wierząc w jej trwałość wieczystą, powiada, że gdyby nawet „pierwszym w świecie przykładem,“ losowi męczeństwa uległa, to krzyż nad mogiłą „ucznia Chrystusowego“ wzniesiony, „byłby celem wędrówek ludów.“ Dlaczego? Bo „naród polski jest przez natchnienie *filozofem*, *Kopernikiem* w świecie moralnym.“ Jakąż to wielką prawdę etyczną odkryliśmy niespodzianie i przy swym znanym do pracy myślicielskiej wstręcie? Oto przeczuliśmy i uznali, „że każdy naród *być powinien cząstką całości i krążyć koło niej* (sic!), jak planety około swego ogniska.“ Trudna to zaiste do rozwiązania zagadka. Jeżeli *cały* ogrom rodu ludzkiego rozpada się na organiczne cząstki, to gdzież jest owa „całość,“ gdzie słońce, około którego, złożony z mnóstwa indywidualności zbiorowych, wielki kosmos etnologiczny krąży? Czy tym środkiem nie jest jaka jedna, z woli niebios na majestatyczny spoczynek skazana jednostka?.. Nieco zrozumialszym, choć jeszcze napół sfinksowym stylem odznacza się dalszy ciąg wykładu. „Ideą jego (narodu polskiego) było: pod słońcem religii rozwinąć drzewo wolności i braterstwa; *umiarkować prawa tronu i ludu na szali, u samego nieba zaczepionej*; rozwijać się według pory, jaką czas przynosi, aby się stać osobą ukształconą do spółdziałania całej ludzkości.“ Trudno zaprzeczyć, że szlachta polska, którą wieszcz metonimicznie „ludem“ nazywa, dbała o pomnożenie swobód stanowych; że inteligencya nasza, od chwili odbudowania akademii krakowskiej (w epoce nominalistycznych i husyckich prądów), po za okresem względnej ciszy umysłowej, półtora wieku blisko trwającej, dość wiernie odczuwała wszystkie tętna cywilizacyjne Zachodu; ale „umiarkowanie praw tronu i ludu“ ziściło się chyba tylko w sennych widzeniach ideologa, ważącego sprawy ziemskie „na szalach u samego nieba zaczepionych.“ Mówca stara się dowieść, że naród nasz, wybraniec boży, jest jedynym apostołem zasad społecznych, „których bogate źródło i wzory — *pierwotne chrześciaństwo* podało“; że więc na dalszem istnieniu i szczęśliwym rozwoju tego ważnego w rodzinie europejskiej pracownika polega byt i pomyślna dola całej ludzkości. Od najdawniejszych czasów, zdaniem autora, opatrzność Polskę do wyjątkowej powołała misyi. Cześć ognia, na ziemicy Piasta przechowywana, zachwyca pierwszych krzewicieli wiary Chrystusowej. Apostoł (niewiadomego imienia), dowiedziawszy się od dziewicy, ognia strzegącej, że świętość, jej pieczy powierzona, jest odwiecznym darem nieba, westchnął i rzekł natchniony: „To lud najczystszy do przyjęcia ognia, jaki mu niosę. Natchnę go duchem piersi moich: on będzie sławnym, dla ludzkości w Chrystusie cierpiącym i kiedyś szczęśliwym zachowawcą ognia boskiego...“ Szczegół ten, poczerpnięty z jakiejś kroniki, jest niezawodnie naiwnym płodem ducha własnej admiracyi. Wiadomo bowiem, że kult ognia, podobnie jak i kult słońca, jest powszechnym dorobkiem cywilizacyi pierwotnej, że stopień jego rozwoju nie może służyć za podstawę do wróżb o przyszłej potędze moralnej narodu; że ludy zendzkie, które pod tym względem prześcignęły innych członków rodziny indoeuropejskiej, podrzędną w dziejach cywilizacyi odgrywają rolę. Postępując dalej w swem dowodzeniu, przekonywa poeta, że polacy „żadnych nie dokonali wstrząśnień, któreby ród ich mogły skazić albo przemienić.“ Nie było u nas, zapewne, takich, jak we Włoszech lub w Hiszpanii, przewrotów: krew zdobywców nie mieszała się z krwią zwyciężonych na całej kraju przestrzeni; ale niektóre zie-

---

Hr. Scibor.

Pragniesz pan działać — i to działać nietylko dla zadowolenia własnego, ale dla dobra gromadki ludzi biednych i kraju. Zgodzisz się pan, że usiłowania te osiągną pożądany skutek wtedy jedynie, jeśli pan uwzględnisz niezbędne konieczności warunków swojego przedsięwzięcia. Otóż według mnie, warunki owe są tej natury, że pan w nich zniszczysz się materyalnie, nie uszczęśliwisz robotników i mimowoli oddasz złą przysługę krajowi.

Wiszar.

Aż tyle win popełnię!

Hr. Scibor.

Niewątpliwie. Gdybym dowodził zasadności praw arystokracyi do panowania nad ludem, popadłbym u pana w podejrzenie, że bronię niesprawiedliwych przywilejów mojej kasty. Nie jako hrabia, ale jako człowiek ukształcony i przemysłowiec, mam to głębokie przekonanie, że nasz lud — rolny czy fabryczny — potrzebuje opieki i przewodnictwa warstw oświeconych, że pozostawiony samemu sobie marnieje, że obsypany nagle niezasłużonemi dobrodziejstwami w swych uczuciach i popędach rozbestwia się.

Wiszar.

Ja moich robotników nie będę karmił spadłą z nieba manną, tylko oddam to, co im się słusznie należy.

Hr. Scibor.

Właśnie że w naszej organizacyi ekonomicznej zyski fabryki im się nie należą.

Wiszar.

Organizacya ekonomiczna — to nie kodeks wieczny, nie zakon święty — każdy ją pojmuje według swojego rozumu, interesu i sumienia.

Hr. Scibor.

Przekonasz się pan kiedyś, że to kodeks praktyczny i zakon mądry. Wspomniałem o kraju. Chociaż pan jesteś świeżym jego obywatelem, nie wątpię, że życzysz mu dobrze. Pomyśl zaś, że czyn pański nie zawrze się w garści ludzi twej fabryki, lecz oddziała na zastępy robocze innych, że w nich wywoła wrzenie, zamieszki, starcia, że zapali ruch socyalistyczny...

Wiszar.

Przeciwnie, przykład mój, gdyby znalazł naśladowców, odebrałby temu ruchowi energię. I ja sądzę, że warchołom, rozdmuchującym namiętności dla wzniecania groźnych pożarów, rozmaitym anarchistom, latającym śród mas ciemnych z zapalonemi pochodniami, bezmyślnym burzycielom gmachu społecznego, socyalistom wściekłym lub szalonym trzeba odebrać wpływ; ale odebrać go można tylko przez rzetelny stosunek kapitału do pracy, przez zastąpienie w rachunkach z ludem roboczym samolubstwa uczciwością. Tego tylko pragnę dokonać — i żadnych burzycielskich zamiarów nie mam. Że zaś mój niewinny plan komuś spekulacyę poderwie — nad tem ani ja ubolewać, ani kraj płakać nie będzie.

Hr. Scibor.

Widzę, żeśmy ludzie odmiennych światów i odmiennych poglądów. Daruj mi pan więc natręctwo i uwierz, że zarówno w tej chwili, jak i później, kiedy się może zetrzemy, nie będę ograniczonym sobkiem, lecz obywatelem, mającym na widoku dobro społeczne.

Wiszar.

Łatwo nam będzie wzajem się szanować.

Hr. Scibor.

Nie miej pan zbyt miękkiego serca, bo ci rozbiorą, rozkradną, a kto chce niem obdarzyć wiele ludzi, musi je uczynić twardem, ażeby się tylko po kruszynie odłamywać dało. Wtedy pan nie strwonisz się dla małej, ale obdzielisz wielką gromadę. Pamiętaj przestrogę Scibora, który dużo przeżył i przemyślał. Żegnam pana z żalem, żem cię nie nawrócił.

Wiszar.

I ja z przykrością, żem pana przekonać nie zdołał.

Hr. Scibor.

Za stary jestem na przeróbkę, za stary (*wychodzi*).

mie (Szlązk, Kaszuby) dość wczesnemu uległy zniemczeniu, a w różnych czasach i miejscowościach terytoryum staropolskiego krzyżowały się z pierwiastkiem rodzimym żywioły czeskie, ruskie i litewskie. Nie można też powiedzieć, by żydzi, pomimo swego odosobnienia i odrębności obyczajowej, nigdy naszej antropologicznej nie zamącili krynicy. Naprawdę więc mówca zachwyca się dziewiczą *ludu* swego czystością, zwłaszcza gdy to miano szlachcie polskiej nadaje. Ze szczególną mocą uwydatniając rolniczy i zachowawczy charakter narodu, mniema Brodziński, że „sam tylko polak ziemię swą matką nazywał.“ Szczery zapał patryotyczny do tego stopnia trzeźwość rozsądkową zagłuszył, że ogólne i właściwe różnym ludom cechy, połączone z imieniem „Chrystusa narodów,“ olbrzymiały w oczach wieszcza i cudownym jaśniały blaskiem. Nastrój — przypominający zachwyt młodzieńca, wpatrzonego w oblicze kochanki... Przy zwykłem funkcyonowaniu władz umysłowych nielatwo byłoby zapomnieć mówcy o znanem imieniu starogreckiego bóstwa — *Demeter* (matka ziemia). Podnosząc z większą niż poprzednicy siłą stare hasło („ojczyzna i wiara“), nie bije niskich u podnóżka stolicy apostolskiej pokłonów, ale imię Maryi ognistemi na sztandarze wypisuje głoskami. Nie zapomina o dzielnych wyznawcach kultu „królowej“ — o Czarnieckim, Sobieskim, konfederatach barskich, a w końcu dodaje: „Maryi poślubiona, uboga pasterka orleańska, wybawiła *siostrę naszą*, Francyę.“ Wzmiankę porównawczą o Joannie d'Arc znajdujemy w opiewającym „szczęśliwą elekcyę,“ psalmie Kochowskiego. Tam jednak ma ona znaczenie retoryczne tylko i ornamentacyjne („z woli Jego wybije anioł wojska Sennacherybowe, albo jak we Francyi — dziewczysko jedno potłucze mocarzy angielskich“) — sympatyi szczególnej dla „gallów“ nie zdradza. Tu widzimy już niby pieczęć umowy moralnej zawartej w epoce rewolucyi, ustalonej pod Napoleonem — pomimo zawodów — trwającej, siłą nałogu, a podsycanej potrzebą słabszego. Ze wspomnień dziejowych uwydatnia szczególnie Kazimierz Brodziński tę samą, co i Woronicz chwilę — epilog sejmu czteroletniego, gdy z „fanatyzmu wolności,“ „bez krwi rozlewu“ naród się wydobywał. Dalszą historyę żywemi kreśli farbami. Żołnierz Bonapartego o „największym mocarzu,“ co tłumy polaków „czarującym głosem“ z pobojowiska na krwawe pędził pole, wspomina ze czcią, choć bez wielkiego zapału. Na kongres wiedeński pesymistycznie spogląda. Usprawiedliwiając wszczętą burzę, mówi do narodu: „stoisz na południu przeznaczenia swego.“

Antoni Gustaw Bem.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

IV.

Trochę mimowolnej ironii było w prelekcyach prof. Rostafińskiego o królowej krain międzyzwrotnikowych — palmie. Takie ukazywanie południowych krajobrazów nam — przymusowym na pół roku eskimosom, uwięzionym śród śniegów i lodów wygląda jak szydercze zjawisko mirażu, łudzące osłabionego spieką pustyni wędrowca.

Jedyna pociecha, że miraż w obecnym wypadku przyniósł istotną korzyść swoim widzom. Rzecz o palmach mogła zająć nietylko szerszą publiczność ale i przyrodników. Temat i specyalny i ponętny zarazem. Palma należy do roślin, mających swoją wyrazistą symbolikę — zaznaczył to prof. Rostafiński wyraźnie, i naszkicował pokrótce rolę doniosłą, jaką odgrywała ona w pojęciach mitologicznych i przyrodniczych plemion wschodu i południa — dzięki osobliwym swym cechom, niezwykłej wyniosłości, smukłości, wspaniałej koronie i tym podobnym znamionom siły i piękna, z któremi nadto licuje znakomita jej wartość użytkowa.

Nie wszystkie jednak odmiany palm są tego imponującego pokroju, który poezya i legenda wyobraźni naszej malują. Na tysiąc odmian mnóstwo jest karłowatych, drobnych, ledwie od ziemi odrastających, a w każdym razie bardzo niewiele prawdziwie majestatycznych. Typy najczęstsze prelegent odtworzył przybliżenie słuchaczom, wyłożywszy, jak się formuje pień ich, korzenie, listowie, objaśnił okwiecenie i proces zapładniania, posiłkując się tu i owdzie okazami liści, przywiezionych z sobą, pochwami kwiatów, roślinami, budową przypominającemi palmy, wreszcie tablicą odpowiednich rysunków. Pierwszy zatem odczyt zajęła właściwa botanika palmy.

Drugi poświęcony był przeważnie wykładowi użytków, do jakich drzewina ta służy mieszkańcom stref, które zdobi, a także geograficznemu rozmieszczeniu najcenniejszych jej gatunków. Połączył te dwa zadania prelegent, wędrując po Europie południowej, Afryce i Azyi — na Amerykę bowiem nie starczyło czasu. Okazuje się, iż palma w naszej części świata nie znajduje tak dogodnych dla rozwoju swego warunków, jak między zwrotnikami, i przeto nie dochodzi do zwykłych sobie gdzieindziej potężnych rozmiarów. Względnie obfitują w nią wybrzeża zatoki genueńskiej i lyońskiej, jak miejscowość Ventimiglia, także w pobliżu Grenady istnieje godny uwagi, parę tysięcy drzew liczący, gaj palmowy jeszcze z czasów arabskich przechowany. Wszakże i europejska palma nie jest bezpożyteczną, idzie bowiem na wyrób przeróżnych tkanin, mat, plecionek itp. Lecz niczem to w porównaniu z palmami cieplejszych krajów — razem wzięte dają one wszystkie te pożytki, jakie ciągnie człowiek z całego pozostałego państwa przyrody roślinnej — a liczba tych pożytków ma dochodzić cyfry 361. Tak, palma rosnąca w Afryce północnej, dostarcza krajowcom pokarmu dla inwentarza, a także włókien, które w znacznej ilości przychodzą do Europy, służąc zamiast włosia a także do wyrobu szczotek. Zaludniająca oazy Sahary palma daktylowa odznacza się nadzwyczajną wydajnością; każde drzewo jest wstanie dawać do czterech cetnarów owocu, i tym sposobem jedna morga gruntu, na której rosnąć może dwa tysiące paręset palm, zapewnia około 9,000 cetnarów daktyli, używanych na pokarm, jako przysmak wysyłanych do Europy, dających nadto pestki, które po sproszkowaniu idą także na karm dla wielbłądów. Wogóle liczba pożytków z tej odmiany palmy jest ogromną. Niemniej wartościowa jest palma oleista, rosnąca więcej na południu. Z owoców jej, nieco przypominających kształtem morele, barwą pomarańczę a zapachem — fiołki, wyrabiają olej, który w olbrzymich partyach dostarczany bywa na rynki europejskie; po odpowiedniej przeróbce służy do fabrykacyi świec, smarów, a oczyszczony starannie, często mieszany bywa z oliwą jadalną.

Dłuższa uwaga przypadła palmie kokosowej, dosyć znanej dzięki owocom swym, ale i jednej z ciekawszych. Prelegent zapoznał słuchaczów z orzechami jej bliżej, mając pod ręką parę okazów i mówił o użytkach z jądra, pierwotnie mlecznego,

---

SCENA IX.

Wiszar, później Regina.

Wiszar (sam).

Głowa mnie boli od tych okładów rozsądku...

Regina (wchodzi).

Sam jesteś? Czuliśmy w powietrzu woń gnijącego charakteru... Pan Justyn napisał do mnie list bardzo ciekawy.

Wiszar.

Cóż mówi?

Regina.

Że miłość jest bardzo smaczną i słodką, ale trzeba ją spożywać rozsmarowaną jak miód na chlebie, inaczej mdli... Słuchaj: „Nie do panny Cecylii, która w rozdrażnieniu nadałaby błędne moim słowom znaczenie, i nie do pana Wiszara, który mógłby mnie osądzić za surowo, ale zwracam się do pani, która szlachetnym instynktem kobiecym odgadnie szczerość i uzna słuszność mojego wyznania. Ojciec, posiadając kilka fabryk, a między niemi papiernię, przeceniając niebezpieczeństwo dla siebie z przedsięwzięcia męża pani — sprzeciwia się stanowczo naszemu związkowi i w razie oporu grozi mi wydziedziczeniem. Przypuszczam wszakże, iż to gniew chwilowy, który przeminie, zwłaszcza gdy i pan Wiszar — jak mniemam — pod naciskiem doświadczenia zmieni swój projekt. Aż do tej pory muszę mu uledz i przekornością nie rozdrażniać. Przypuszczam, że pani podziela moją taktykę, a na dowód raczy mnie upoważnić, ażebym przyszedł i ustnie przysiągł, że nie przestanę ani na chwilę kochać panny Cecylii i z tęsknotą marzyć o tak serdecznie upragnionem z nią małżeństwie.“ A więc od serca do kieszeni niedaleko... Co mu mam odpowiedzieć?

Wiszar.

Dotąd ty mnie radziłaś, nie żądaj, ażebym w najtrudniejszym wypadku ja tobie radził. Zapytaj swojego sumienia, a wreszcie Cecylii.

Regina.

Naprzód sumienie (*siada, pisze i czyta*). Odpisałam tyle: „Powierzyłeś mi pan obronę swego postępku przed mężem i jego siostrą. Nie będąc adwokatem zawodowym, tylko kobietą prawą, mogłabym jedynie podjąć się orędownictwa w sprawie czystej, pańskiej więc przyjąć nie mogę.“ To ode mnie. Cecylia niech go osądzi, jak zechce.

Wiszar.

Ona jest nieporadnem i zbolałem dzieckiem, sama niczego nie postanowi, a po takim liście stanowczo do Justyna się zrazi.

Regina.

Więc mam listu tego nie posyłać?

Wiszar.

Czy Cecylia uspokoiła się?

Regina.

Płacze... Aureli, ty chcesz ją ratować, ustąpić Kreislerom, nie taj przede mną!.. (*wchodzi Morski*).

SCENA X.

Ciż i Morski.

Morski.

Układ z robotnikami skończyłem.

Wiszar.

Jak?

Morski.

Według pańskiego życzenia.

Wiszar.

Jestem panu bardzo wdzięczny.

Regina (rzucając mu się na szyję).

A ja tobie, mój najdroższy. Aureli, to drugi nasz ślub!

Wiszar.

Dzień ten obłókł mi się w jasność (*dzwoni — wchodzi służący. Aureli biorąc list z rąk Reginy*). Odnieść do pana Justyna Kreislera list — zaraz.

Koniec aktu pierwszego.

następnie włóknistego. W dalszym ciągu zatrzymywał się nad palmą sagową, której substancya mączna przerabianą bywa na znaną powszechnie kaszkę, sago zwaną; (z tą ostatnią jednak nic ma nic wspólnego sago, u nas handel obiegające, jest bowiem zwyczajną mąką kartoflaną). Z liści innego gatunku palm hindusi jak dawniej tak i dziś robią arkusze zastępujące papier, na których piszą rylcem, napuszczając potem wyryte miejsca farbą. Na Ceylonie z pni palmowych wytaczają sok, podobnie jak u nas z młodych brzóz na wiosnę; poddają go fermentacyi i otrzymują trunek wyskokowy, w postaci wina lub araku.

Z odmian amerykańskich prof. Rostafiński zdążył jeno napomknąć o palmie *tagua*, z której w ostatnich czasach wytwarzają imitacyę kości słoniowej, tak łudząco wierną, że tylko odczynnik chemiczny może wykryć jej pochodzenie. W końcu wspomniał o brazyliskiej palmie *Copernicia*, która otrzymała nazwę na cześć wielkiego astronoma polskiego, a jest jednem z najbardziej okazałych drzew i daje wino, cukier oraz znaczne ilości wosku, osiadającego grubą warstwą łodygi.

Godzi się też nadmienić, że prelegent dotknął i dziejów wiedzy o palmach, która sięga jeszcze fenicyan; od nich to prawdopodobnie rozeszła się po starożytnym wschodzie, tj. po Judei i Chaldei a następnie i świecie klasycznym. Nadto wykazał cytatami, iż i u nas zdawien dawna miano niezłe pojęcie o botanice palm. Kwestyę ogólnego pochodzenia palm uznał za nierozstrzygniętą.

Oto punkty ważniejsze, które pamięć nasza zdołała zatrzymać. Dokoła nich obracała się przecież wielka ilość faktów i wiadomości, dla każdego niemal, w części przynajmniej nowych. Była to słowem pogadanka miła, pomimo iż w bardzo zamkniętym obrębie zasklepiona.

Wogóle prof. Rostafiński posiada wyborne dane dla zainteresowania audytoryum: wymowę płynną, język kwiecisty a łatwy. Zarzucićby jedynie można iż dobre chęci urozmaicenia wykładu przeszły w pogoń za efektami bawicielskiemi, za dowcipami mocno naciąganemi. Dla dam zresztą sam mówca jest już dosyć pociągającą, przystojną palmą.

R.

LITERATURA I SZTUKA.

DWIE PLAGI.

III.

De omnibus et quibusdam aliis.

Literatura nasza jest jako świątynia dawnych egipcyan— jeno nie jeden Apis, lecz Apisów mnóstwo używa w niej boskiej czci. Rozwalić te bałwany! Nie tak to łatwo jak krzyknąć. Odszczepieniec wołowego kultu może się nań zżymać— ale to nie pomoże: zamiast nagrody za odwagę cywilną, dostanie... chłostę. Przejęty pokorą głęboką dla tego żelaznego prawa naszej krytyki, nie śmiem wcale, nie próbuję zgoła dotykać uświęconych wielkości i znakomitości, bo z wielu, reklamą wypchanych, samochwalstwem napęczniałych głów wylazłyby—żmije jadowite.

Dlatego też potrąciłem jedynie o fetysze *minorum gentium*, w niepłonnej może nadziei, że życzliwy mi czytelnik, rozejrzawszy się okiem krytyczniejszem po obszarze dzisiejszej naszej beletrystyki, zechce sam dośpiewać sobie w duszy myśl moją trwożliwą i zawiesi nie na jednej „znanej i powszechnie cenionej" osobistości sceptyczne spojrzenie...

Wtedy niechaj weźmie do rąk odezwę do „krytyków i recenzentów warszawskich" pisaną przez Mickiewicza, a przekona się, że już lat sześćdziesiąt temu, prawdziwą religią w estetyce było nieuctwo, że już wtedy działały wyrocznie, podszczuwające przeciw istotnym talentom a co najważniejsza, przychylne miernotom i nicościom. Jeżeli w dobie wielkiej plejady poetyckiej tak było, dlaczegoż teraz stan rzeczy miałby być lepszym? Prawda, że wszelkie piśmiennictwa przebywały okresy upadku sądów krytycznych, w epoce zwłaszcza pseudoklasycyzmu, ale nigdzie tak śmiało jak dzisiaj u nas żaby nie podnosiły swoich łap do podkucia, nigdzie osły, nawet objuczone złotem, nie przedostawały się przez wysoki ostrokół do panteonu literatury.

I z każdym dniem wrota doń szerzej się otwierają, by coraz liczniejsza wpadała w nie fala beletrystycznego motłochu. O powodzeniu i uzdolnieniach literackich niemowląt stanowi wzorowo zorganizowane bractwo wzajemnego uwielbienia. Nastały czasy jakiegoś pokoju bożego, który podtrzymuje dziennikarstwo nieszczerem kadzeniem sobie i wynoszeniem pod strop niebios najlichszych ramot, najgłupszych wierszydeł. Niektóre pisma a zwłaszcza *Kuryery* pragnąc snać zamienić dawną nietolerancyę na ton przyzwoitej wyrozumiałości, zapominają, że maniera rycerska w stosunkach towarzyskich i polemikach stronnictw — a bezwzględna chwalba dla wszystkiego, co pochodzi z kół zaprzyjaźnionych z nimi — to dwie rzeczy różne: pierwsza — godnem uznania hasłem, druga — dyplomem dla tandety i podrabiania. Przed pierwszą chylimy czoła; świadczy ona, iż i pisma codzienne zrozumiały nareszcie potrzebę liczenia się z prądem czasu; ale bezmyślna adoracya przyjaciół i sojuszników — to, doprawdy, najczęściej chuchanie na potworków, dla których nawet słój ze spirytusem jest zbyt zaszczytnym losem: tak są pospolite i spowszedniałe.

Są zresztą bardzo pozytywne przyczyny „wzajemnej adoracyi." *Kuryer warszawski*, połączony do pewnego stopnia interesami wydawniczymi z *Kłosami*, nie może zostawać obojętnym — tak przynajmniej sądzi— na żadne ziarno ich, choćby puste, na żaden kąkol. *Kuryer codzienny*, również złotą serdecznością związany z *Tyg. ilustrowanym*, streszcza każdy jego numer, darząc każdą bagatelkę komplimentem: „wspaniała," „świetna," „wyborna." Paradny to stosunek! Czytając co tydzień dwadzieścia kilka wierszy hymnu na cześć utworów, ani lepszych, ani gorszych zapewne, bo o to trudno — od zawartości innych ilustracyj — ktoś niewtajemniczony gotów myśleć, że to lub owo z naszych wydawnictw obrazkowych jest uprzywilejowanem schroniskiem geniuszów, a przynajmniej talentów. Ale tak nie jest. Przyzwoitość i staranność to jeszcze nie wyłączne posiadanie daru łaski. Korzystając z życzliwych stosunków chciałem zaproponować *Kuryerowi warszawskiemu*, ażeby z swym sobowtórem *Codziennym* zamienił role; wtedy pierwszy drukowałby panegiryki *Tyg. ilustrowanemu*, a drugi — *Kłosom*: rezultat dla wydawców byłby ten sam a *decorum* publiczne byłoby uratowane. Mam nadzieję, że prędzej czy później, zamiar ten uda mi się wprowadzić w wykonanie.

Niestety, co do innych ilustracyj i tygodników nawet taką perspektywą pocieszać się niepodobna. *Echo muzyczne* oraz *Życie* ze względów daleko szlachetniejszej natury, bo całkiem bezinteresownie otrzymują zawczasu pomniki od prasy codziennej. Jakaż na *to* rada?

Pomyśl więc teraz, jaka atmosfera wytwarza się śród tych najpoczytniejszych dzisiaj czasopism?

Rodzi się duch kliki, z konieczności bezbarwnej, wiecznie słodko dla towarzyszów uśmiechniętej. Tworzy się rodzaj klubu, do którego wstęp dozwolony każdemu, kto przy wrotach powie hasło: mdły, płaski, ale płodny. Bo płodzić i płodzić — to obowiązek i warunek naczelny. O resztę mniejsza. Tak dobrane koło wydaje ustawy, które orzekają, że każdy guzik, przez członka kliki wrzucony do skarbony piśmiennictwa, jest holenderskim dukatem. Miejscem schadzek i porozumień są salony literackie, których dziś już więcej jest w Warszawie niż bawaryj; węzłem zacieśniającym przyjaźnie — majonez. I jakże tu wobec tak wewnętrznej, głębokiej, bo aż żołądka sięgającej solidarności nie wieńczyć się nawzajem, chociażby liściem bobkowym, marynowanemu śledziowi odjętym? Jakże nie zalecać *mrącego* druha, co połowę numeru zapełnia przekładami bez objaśnienia „tłomaczone" itd. a drugą połowę zadrukowuje w ten sposób, że na całą stronicę przypada dwanaście rymów? Jakże nie reklamować innych, co obałamucają ogół czterema naraz arkuszami druku i tak niewyrazistem obliczem, że można o niem śmiało powiedzieć:

> Od swoich się odstrychnął,
> Do obcych nie czmychnął—?

To przymierze godnem byłoby całej epopei — ale ja jego Homerem nie chcę być; ja „śpiewam" tylko niektóre tryumfy i cnoty umysłowe, dla wyświetlenia dwu srogich plag. Boć teraz chyba uwierzysz, że gdzie taki system protekcyi panuje, tam każdy móżdżek cielęcy łatwo zamienić w krynicę poetyckiego natchnienia. Gdzie poetami i powieściopisarzami są ponajwiększej części Krapulińscy i Waszlapscy, nic dziwnego, że

> Eine Laus und eine Seele
> Kratzen sie sich um die Wette.

Inaczej być nie może.

Z wzajemną adoracyą talentów kroczy pod rękę bardzo wspaniała dama, w pysznym stroju salonowo-koncertowym: intelektualna tolerancya. Jest to bardzo wolnomyślna prawodawczyni, której kodeks z takich mniej więcej składa się artykułów.

1) Powieści i poezye, a zwłaszcza nowele, może pisać każdy, niezarażony trądem nauki i wykształcenia.

2) Prawidła pisowni i stylu w twórczości takiej wykluczają się (patrz: *Smarosz*, *Grzechota* i stu innych).

3) Wolno fałszować najbardziej znane fakta, mówić np., że Ackermanowa jest poetką niemiecką (*sic*!).

4) Każdy nowelista winien starać się o tłomacza na język francuzki lub niemiecki. Może być tłomacz zmyślony, byleby figurował w gazecie imieniem i nazwiskiem.

5) Każdy „autor" może z czasem awansować na sędziego w konkursach artystycznych; z samej zaś istoty rzeczy może pisać o wszystkiem, co na rynku księgarskim się pojawia, np. o *Etyce* Spencera (patrz *Jedliński*), choćby to była księga na siedem pieczęci zamknięta.

Niektóre z tych kanonów nie są jednak monopolami owego towarzystwa wzajemnego popierania się — wyznać muszę na jego usprawiedliwienie. Nawet pisarzom niesamozwańczym tradycya romantyczna każe stronić od faktów i danych nauki, i wyniośle je odrzucać. Gdy np. czytam, jak Joanna d'Arc naszej poezyi kładzie w usta marzycielom wieku takie słowa:

> Precz z własnością. Precz z prawem.
> Precz z rodziną. Precz z duchem.
> Precz z ojczyzną. Precz z Bogiem.
> (*Pod niebieską chorągwią*).

przychodzi mi na myśl, że Bóg, o którego czci mowa w pseudonymie „Deotyma," nie jest chyba Bogiem prawdziwym, ale zwyczajnym opiekunem ignorancyi i chce mi się wtedy dotworzyć jeszcze trzy wiersze, które w ustach „białej," jak mówi Słowacki, wieszczki, byłyby wiernym stronnictwa jej portretem:

> Precz z rozumem. Precz z światłem.
> Precz z nauką. Precz z prawdą.
> Precz z logiką. Precz z wiedzą.

Ale, co ważniejsza, byłyby miarą tego census, jaki wogóle od naszej beletrystyki wymaganym bywa.

Takie to czynniki wpływają na jakość. A ilość? Zgroza przejmuje na samą myśl o niej! Brzęczy to, jak rój komarów nad bagniskiem i przechodnia ze stron wszystkich opada. Czy jednak patroni literatury zastanowili się nad tem, że więcej tu zawiniła sztuczna hodowla, niż naturalne samorództwo? Bynajmniej — inaczej musieliby postawić pod pręgierz śmieszności wszystkie te młyny, w których mielą dla naszych mózgów nowiny z szerokiego świata. Oni to bowiem założywszy wielkie garkuchnie, trzymają *radzi nieradzi* całe armie kucharzów, ażeby szybko a ustawicznie przyrządzali smaczne potrawy z... wody i zieleniny a bez soli, oleju i mięsa. Straszliwem bo jest zapotrzebowanie, dajmy na to, w państwie poczciwych *Kuryerów*! Przeszło sześćset numerów na rok, a więc tyleż odcinków, przypada na każdy — i to trzeba zapełnić nowelami! Doprawdy — zadanie niełada. Powieści d'ugie nie popłacają i odstręczają czytelników, chyba że autorem ich — Prus. Utworów cudzoziemskich przeszczepiać nie pozwala zamiłowanie do swojszczyzny, które, choć tak chwalebne, schodzi czasami na poziom patryotyzmu *d'antichambre*, orzekającego, iż zawsze plewy ojczyste więcej warte od zagranicznego ziarna, choćby tłustego. Takiemi pętami dobrowolnie się skrępowawszy, dzienniki muszą napędzać wszystkie swego gospodarstwa kokosze, ażeby znosiły bodaj po dziesięć jaj dziennie. Rzecz prosta, że znoszą, ale nie jaja...

Ten przymusowy niemal lęgnik fatalnie odbija się i na prawdziwych talentach. System obstalunków na dany dzień świąteczny, powszedni lub noworoczny, stosowany jest do wszystkich. Do premium potrzeba nam pięćdziesięciu nowel i tyleż „poezyj.“ I oto artysta na równi z rzemieślnikiem z pracowni swej robi szewski warsztat i w jedną lub kilka nocy fabrykuje żądany wyrób. Możnaż się wobec tego dziwić, że wszelkie wydawnictwa okolicznościowe wprost kompromitują wsławionych pisarzów? Przypomnijcie sobie nowelę Prusa o tarciu (tytułu nie pamiętam), mnóstwo drobiazgów Gomulickiego, Gawalewicza rozmaite *Muu* i *Mimi*, a przekonacie się, że są to tematy błahe, najwyższy stopień wyczerpania znamionujące.

Boże! jakże serdecznie śmiać się muszą wszyscy ci panowie, gdy w kółku koleżeńskiem przeglądają premia noworoczne i czytają swe własne fabrykaty! A jak śmiać się muszą ich chlebodawcy! Nie wierzę, ażeby ci augurowie, spotkawszy się z sobą zdala od ołtarzy, nie zwijali dłoni koło ust. A jednak sumienie ich czyste, bo tam nad interesem, nad wyścigiem o grosz panuje jakiś konwenans, mania naśladowcza — dzieło francuzów i małp—niegodne bynajmniej ludzi zdolnych i... pieniężnych. Ale i taka nawet hurtowna produkcya, zmuszająca np. Konopnicką do przeżuwania jednych i tych samych motywów—nie wystarcza. Zjawia się potrzeba ogłaszania publicznej licytacyi *alias* konkursów na nowele. Wyobrażam sobie kto bierze w nich udział, jakie zaprzepaszczone pokłady błagi, nieuctwa i prostactwa tryskają wtedy artezyjskiemi studniami brudnej wody!

Konkursy stanowczo chybiają celu. Zamiast a przynajmniej obok nagród za najlepsze nowele, powinnyby przez czas jakiś rozdawać nagrody za najniedorzeczniejsze i uwieńczone w ten sposób dzieci muzy ogłaszać drukiem. Wprawdzie nagród trzebaby na to mnóstwo, ale ponieważ między ukoronowanymi znaleźliby się przedewszystkiem nasi „utalentowani,“ więc na przyszłość stosowaliby się może do zasady, o której u nas najczęściej się zapomina: *ne sutor ultra crepidam*. Co do mnie, gdybym kiedykolwiek dostąpił zaszczytu uczestniczenia w podobnem *jury*, gardłowałbym silnie za swym projektem: byłby—w razie ziszczenia go— dla współubiegających się niemiłą niespodzianką, no, ale czy w procesach dezinfekcyi można i potrzeba oglądać się na prywatną wygodę?

Stronnością jednak byłoby twierdzić, że dziwolągi rynku literackiego są tylko winą spożywców. Nie — częstokroć grzeszą wytwórcy, przez których zawaleni towarem tamci rady sobie dać nie mogą. Bo, choć brzmi to dziwnie, myśmy się już doczekali proletaryatu literackiego—*literackiego, a nie umysłowego*! Gdzieindziej pierwej tamten, później ten—u nas inaczej: głów myślących nie wiele, rąk piszących — ciżba. Nie tu miejsce badać nad ogólniejszemi przyczynami tej rozpaczliwej anomalii: fakt, że istnieje ona, a wyraża się w powodzi czasopiśmideł, nawet z nagłówków nie wszystkim znanych, i w tej właśnie nawale piór. Fakt, że całe setki młodzieży i niemłodzieży, któreby z pożytkiem pracować mogły jako baletnicy, clownowie, artyści scen prowincyonalnych, lokaje i kelnerzy— rzucają się na nowelistykę i poezyę.

Zarzuci kto może, że to przesada, patrząca na rzeczywistość przez czarne szkła? Niechaj dowiedzie, że nie mam słuszności, a gotówem przeprosić osobiście wszystkich, kogo słowa moje przywodzą czytelnikowi na myśl... Ale to nie gorycz. Żywię głębokie przekonanie, że powieść nasza stanęła wysoko; nie wahałbym się upewniać, że o całe niebo przewyższa współczesną np. nowelistykę chińską, liberyjską i potagońską a nawet nieco lepszą od nich niemiecką, która zeszła na bezmyślną paplaninę — ale to jeszcze nie tytuł do biernego odpoczynku na laurach; bo jakaż korzyść z twórczości w narodzie, gdzie słuchaczów i czytelników mniej, niż bardów, gdzie ciałem staje się rubaszne przysłowie o Maćku, pożerającym owoc własnej—pracy. A jaki to owoc? Pożal się Boże!

Lecz dobiegam już mety i żart wszelki odrzucam na bok. Zostało nam naprawdę kilku cennych powieściopisarzy i kilku uzdolnionych nieprzeciętnie rymopisów, no ale tych rodzaj jest całkiem odrębny — daleki od wspólności z beletrystyką przyrządzoną *à la hâte*. Zresztą w ogólnym potopie nowel i poezyj są to, że użyję wyrażenia Owidyusza, *rari nantes in gurgite vasto*. Szczupłe ich grono nie umniejsza zgoła ani męczeństwa, na jakie skazuje publiczność czytającą nieprzeliczona armia ich ciurów, ani ocala krytycyzm i smak estetyczno-literacki od doszczętnego zaniku.

Bo i jakże ostać się ma jędrny sąd wobec takich oto cyfr: *Kuryer warszawski* i *Kuryer codzienny* liczą razem do 26 tysięcy abonentów, tygodniki zaś przez nie faworyzowane (*Kłosy*, *Tygodnik ilustrowany*, *Życie*, *Echo muzyczne*, *Kraj*) co najmniej drugie tyle. A więc do 50 tysięcy zwolenników ma jedno i to samo pismo, kursujące pod kilkoma co prawda nazwami, z całą dumą wznoszące sztandar *neutralności*. (To niby „sos uniwersalny“ w restauracyach polskich).

A więc do 50 tysięcy przedpłacicieli a licznych kroci czytelników, słowem do całej inteligencyi niższej, średniej i wyższej — wielotytułowy mocarz prasy może wykrzyknąć:

Poddani cieszcie się,
Że królem macie mię!

Niewątpliwie cieszymy się i winszujemy sobie.

Ta zgoda i jedność raduje wszystkich, jako oznaka duchowego odrodzenia — ale, do licha! to harmonia żab, piskorzów, końskich pijawek i ślimaków, w zapuszczonym i spokojnie pod rzęsą swą drzemiącym stawie. Słyszę, że wielu do łez rozrzewnia widok „wspaniałego rozrostu prasy“ i „kanalizacyi myśli“ — ale do licha! — kilka rur, *najświeższej daty*, którem i *co tydzień* sączą się owe... myśli, ułożyli zwyczajni przedsiębiorcy, zawezwawszy do pomocy majstrów od — wylewania pomyj na wszystkich, czyje głowy nie są *przesmykami* między oceanem zarozumiałości a morzem głupoty...

Dziwisz się, że wsiadłszy na dwie plagi, aż tu się znalazłem i pytasz, jak za żmudzinami Słowacki: komu ty jedziesz? Już nikomu nie jadę — bo na inne plagi miejsca już zbrakło a i odwagi do babrania się w nich. Zresztą to rzecz firm głośniejszych. Tylu jest dzielnych historyków literatury, archiwistów i komentatorów wielkiej epoki Mickiewicza, dla czegoż nie spojrzą okiem krytycznem na to co się dzieje współcześnie? Dlaczego z po za kilku drzew wyniosłych nie widzą lasu badylów i chwastów? Dlaczego nie pomyślą, ile klęsk umysłowych kryje się w tak drobnych na pozór rzeczach, jak zbutwienie krytyki bieżącej, wtedy właśnie, gdy się odbywać powinien doniosły proces kształtowania opinii, demokratyzacyi pojęć estetycznych i prawdziwej wymiany sądów i tam, gdzie całe życie zbiorowe skupia się w obrębie literatury nadobnej?..

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ożywiony piątek — Śmierć cesarza niemieckiego. — Przerwa w drzemce gazet i nadzwyczajne ruchy. — Telegraf w naszej prasie. — *Kuryery* jako gazety europejskie. — Bóle p. Jellenty i moje. — Płodność królików noweli. — Prośba do nich. — Józik Srokacz jako środek przeciwko chorobie nowelistycznej. — Wystawa muzyczna. — Jej niemota. — Koncert pamiątkowy. — Bilet do raju. — Najzłośliwsza prawda.

Piątek zeszłotygodniowy wprawił Warszawę w ruch niezwykły. Nawet *Gazeta warszawska*, *Wiek*, pisma, które nigdy się nie spieszą i często odpoczywają, pogwałciły stale zachowywane święto galowe i wydały dodatki nadzwyczajne. Tylko jedna *Gazeta polska* nie przerwała uroczystej bezczynności i nie doniosła swoim czytelnikom, że zmarł cesarz niemiecki. Z wyjątkiem więc tego grona, w piątek rano (*Kuryery* wywiesiły depesze w swych sklepach) lub wieczorem wiedzieliśmy o tem ważnem zdarzeniu wszyscy w Warszawie, prawie jednocześnie z mieszkańcami Wiednia, Paryża lub Londynu. Na tym wypadku wypróbowała się znakomicie obsługa telegraficzna naszych dzienników. W ciągu ostatnich lat 15 postąpiła ona znacznie, niemal zrównała się z szybkością prasy zagranicznej, ale tylko w *Kuryerach*. Duże gazety nie otrzymują już, jak dawniej, wycinków z Wrocławia lub Berlina nadsyłanych pocztą, ale jeszcze pozostają w tyle o długi krok lub dwa po za towarzyszami brukowymi, a wielkim dziennikom zagranicznym nie dotrzymują nawet odległego porównania i wyglądają wobec nich tak, jak chłopska furka wobec pociągu kolei żelaznej. Telegraf nie stał się jeszcze dla nich współpracownikiem głównym. Współpracownik to bardzo drogi, ale opłacający się, dowodem rozpowszechnienie *Kuryerów*, które nas jedynie łączą codzień z dalszym światem. Gdy do nas rano lub wieczorem wchodzi *Kuryer*, wchodzi cała Europa polityczna dnia bieżącego; gdy przybywa gazeta z garścią zwiędłych nowin pokoju, nie jesteśmy pewni, czy po za jej doniesieniami nie oblatują świat pioruny wojny. Bez *Kuryerów* mogłaby Anglia utonąć w morzu o godz. 10 rano, a my dowiedzielibyśmy się o tem nazajutrz wieczorem. Śmiejcie się — są to jedyne u nas dzienniki w stylu europejsko-amerykańskim. Niegdyś zastępował nam depesze Kenig, który dawał lekcye prywatne dyplomatom, lub Sulicki, który ciągle robił wojnę; dziś nie wystarcza Kenig (pisujący zresztą bardzo dobre artykuły), nie wystarcza nawet „infor-

mowany przez poważne źródła“ Br. Z., ludzie skapryśnieli i wymagają telegramów. U nas wolniej, ale i u nas dokonywa się przełom w tym kierunku, że gazety polityczne coraz bardziej wysuwają się z literatury i wchodzą w dziedzinę przedsięwzięć praktycznych, są organami partyj lub rządów oraz informatorami ukształconego ogółu. Ponieważ zaś my stronnictw tego charakteru nie mamy, przeto nasze dzienniki mogą być tylko mniej lub więcej krytyczną, miejscową i powszechną reporteryą z domieszką literatury. Za umiejętne spełnienie tego głównego zadania chętnie przebaczam im — wyłącznie *Kuryerom* — te „plagi,“ które tak oburzają p. Jellentę.

Jeśli wszakże chodzi o samą literaturę, sąsiad mój ucierpiał od tych plag więcej, niż ja, nie krzyknął też jeszcze rozpaczliwym głosem. Musiałby mi ktoś bardzo dokuczyć, ażebym go zaklął: bodajżeś czytał nadsyłane do redakcyi nowele! Nie wiem, kto pierwszy stworzył ten gatunek, bo poszedłbym na jego grób i zawołał: wstań i zobacz, coś narobił. Prawda, w tym szeregu stoi Dickens, Ouida, Breet-Hart, Daudet, Maupassant, Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa, ale także: Bis, Cis, Dis, Has, Pypeć, Malutkiewicz, Papuziński — legion, którego nie zliczę. Bo tego się już nie rachuje zosobna, ale mierzy kupą. Szarańcza nowelistyczna spadła podobno na wszystkie kraje, ale wątpię, czy gdziekolwiek równie gęsto zaległa pole literatury, jak u nas. Obok tej szerokiej rzeki, która płynie łożyskiem prasy, daleko szersza, bezmierna toczy się pod nią, przez szuflady i kosze redakcyjne. Doszło do tego, że dziś *wszyscy* piszą nowele, jeżeli tylko (nawet nieortograficznie) pisać umieją i *każdy*, najgłupszy i najwyczajniejszy wypadek służy za osnowę tym utworom. Kasia myła talerze i jeden stłukła— bankier nie chciał podwyższyć płacy swemu oficyaliście — Justyna urodziła dziecko z paniczem — hrabina odmówiła wsparcia krewniaczce — kot gonił kotkę po dachu— koń przeładowany ustał pod górą — omamiony chłop sprzedał tanio żydowi krowę— on ją kochał, ale z drugą ożenić się musiał — dwa szczygły przefrunęły z konopi na gruszkę, na której siedziała sowa — każdy z tych przedmiotów może być przedmiotem noweli i nieraz jest. Co do formy, bywają krótkozdaniowe i długozdaniowe, gramatyczne i niegramatyczne, przecinkowane i kreskowane, małe i duże. Widziałem parę, zawierających po kilkanaście lub kilkadziesiąt wierszy. Jedną odtworzę wam z pamięci (utonęła w koszu redakcyjnym). „Księżyc świecił — śnieg skrzypiał. Przejeżdżały karety i sanki. Panie i panowie — weseli i smutni. Najsmutniejszą jednak w tym syrenim grodzie była Jagusia. Czemu? Służyła... dźwigała ciężar wiekowej niesprawiedliwości ekonomicznej, ciężar nielitościwego kapitału. Pracowała, ale nadwartość jej pracy pochłaniali wyzyskiwacze. Wyszła dziś, ażeby spojrzeć w oblicze księżyca, którego, przykuta do taczki roboczej, oddawna nie widziała. Przypomniały się jej lata młode, kiedy codzień powierzała swe marzenia księżycowi. On ją poznał — ale poznawszy, zasłonił się czarnym obłokiem i już tego wieczoru nie wyjrzał. Miasto nie wiedziało, komu zawdzięcza to nagłe jego zaćmienie.“ A przy tem list do redakcyi: „Upraszam o zamieszczenie tej nowelki, odpowiadającej, jak mniemam, duchowi pisma Waszego.“ Taki przysmak dostajesz przynajmniej raz na dzień, przez rok — setki! Kto mi wróci czas, tym brednio poświęcony? Szanowni noweliści i nowelistki, przypuszczam, że na tysiąc was znajdzie się jeden Prus, Sienkiewicz lub Orzeszkowa, słowem, że w waszej gromadzie nakoniec spotkałbym jeden talent: ale zrzekam się trudu przeczytania 999 lichych ćwiczeń za przyjemność wprowadzenia jednego pięknego utworu do literatury. Uważajcie więc redakcyę *Prawdy* za dom zapowietrzony dla was — i omijajcie ją z odrazą.

Gdyby ten nieograniczonej płodności ród chciał szukać wzorów i wiedzieć przykładowo, czego on nigdy nie stworzy, a co dla istotnego zbogacenia literatury stworzyć należy — zaleciłbym mu do przeczytania powiastkę Konopnickiej w *Kuryerze codziennym* p. t. „Józik Srokacz.“ Osnowa napozór bardzo zwyczajna, bo Józik tylko jeździł na kieracie młocarni, która mu urwała rękę i umierając zapisał swój ubogi majątek panu, który kieratu nie ogrodził. Ale co to za barwne malowanie, jaka poezya, ile gorzko uśmiechniętej rzewności w tym małym obrazku! To jest prawdziwy artyzm, chociaż nie prawdziwa odbitka życia, do którego ten chłop, czyniący swoim spadkobiercą pana lekkomyślnego, nie należy. Konopnicka jest za zbyt poetką, ażeby rzeczywistości nie okrywała złotą gazą swojej fantazyi. Umie ona jednak być realistką rzetelnie wierną. Posłuchajcie skargi obywatela przed sąsiadami po bolesnym wypadku, gdy Józik leżał z oberwaną ręką: „A już to ja mam takie szczęście. Co sobie do tej fornalki chłopca dobiorę, to mi go jakieś licho weźmie. Miałem Jędrka, ożenił się w grunt, miałem Szymka, do wojska poszedł. A już mi się też szykuje, jak żydowi rola.“ Niepowodzenie z chłopcem do fornalki bardziej go obchodzi, niż kalectwo i cierpienia parobka, których był pośrednim sprawcą. A jak pysznie tłomaczy się z niedbalstwa! Już w zeszłym tygodniu myślał ogrodzić kierat, a nawet „miał trzyrublówkę w ręku,“ ażeby posłać po deski; ale „dyabli nadali Brysia z Uniejowa,“ z którym się zagadał, bo „żyd wracał z Łowicza.“ Sąsiad go uspokaja, że „czyby był posłał na Spendowskie, czy nie posłał, to byłby jeden skutek, bo na Spendowskiem calówek zbrakło, a za tamte szelma żyd zdziera po trzy trojaki za łokieć. Kto by mu płacił! A toćby takie obicie kieratu bajońskie sumy kosztowało! Nie trzy ruble, ale pięć byłoby za mało!“ Dzięki tej uśmierzającej smutek mowie, strapiony szlachcic zaczyna żałować, że mu oderwana ręka chłopca przeszkadza wyjechać do Kalisza, a gdy nieoceniony sąsiad zapewnił, że skoro „się zdarzy okazya, to tak samo będzie (Józik) jedną ręką kradł, jak kradł dwiema“ — sumienie strapionego obywatela odzyskuje swój spokój. Potem uczuwa ono jeszcze wyrzut przy testamencie umierającego chłopaka, który go darzy swem mieniem, ale to już — jak rzekłem — należy do ozdób poetycznych autorki. Nie tego streszczenia, ale całej powiastki niech nasi noweliści i nowelistki króliczych sił i króliczej płodności nauczą się na pamięć. Zaręczam, że przestaną — pisać.

Najbogatsze w wystawy miasto europejskie — Warszawa, urządziła sobie wystawę muzyczno-artystyczną. Są tam rozmaite, stare i młode instrumenty, są portrety i biusty, partytury, zabytki i autografy. Na niejednym przedmiocie oko spoczywa ze czcią lub ciekawością, ale na wielu ze zdziwieniem. Zdziwienie to ogarnia nas właśnie w dziale autografów i pamiątek bardzo świeżej daty, które przekonywają, że komitet pragnął ją uczynić obfitą za wszelką cenę i nie stawiał żadnych granic swojemu wyborowi. Inaczej skądby się na niej znalazły autografy muzyków żyjących bardzo skromnego talentu, które może posiadać każdy sklep lub kasa zamówień; skądby się znalazły albumy, a w nich fotogramy i wycinki z *Kuryerów*; skąd dyplomy udzielane uczniom przez Towarzystwo muzyczne i tak dalej? Cobyśmy powiedzieli, gdyby na wystawie *przemysłowej* zamieszczono obraz Kostrzewskiego „Kapitał i praca“? A jednakże na *muzycznej* umieszczono jego obraz „Janko muzykant“ (ilustracya do powiastki Sienkiewicza). Ma to taki związek z muzyką, jak np. baran, z którego kiszek wyrabiane są struny i który również według tej samej logiki powinien być okazanym.

Pomińmy wszakże zabawną stronę tego popisu. Mojem zdaniem, jest on zbyt martwy, a mógłby ożyć. Niektóre z instrumentów dochowały się w dobrym stanie, czy by więc nie należało na nich urządzić koncertu? Byłby on bardzo ciekawy, pouczający, a nawet wzruszający. Niechby te nieme drewna i blachy, na które publiczność patrzy dość bezmyślnie, przemówiły do niej swym starym głosem, niechby wreszcie odezwały się zabytki, otoczone rojem serdecznych wspomnień. Czy nie doznalibyśmy głębokiego wrażenia, gdyby na fortepianie Chopina Michałowski zagrał Chopina? Jeżeli kraj nasz posiada tyle dawnych i pamiątkowych narzędzi muzycznych, że aż zebrał z nich osobną wystawę, to widocznie starczą mu one na koncert i zdolne są do takiego użytku. Jeżeli zaś nie — szkoda było zachodu *).

Widocznie przez pomyłkę, zamiast do *Przeglądu katolickiego*, czy też *Kroniki rodzinnej*, do naszej redakcyi nadesłano „Bilet dla podróżnych do raju.“ Drukowany on u Plocha w Król. Hucie (Szląsk) a zawiera następujący rozkład jazdy:

„*Wyjazd*: Każdej godziny.
Pociąg pospieszny I klasa: Ubóstwo, czystość, posłuszeństwo.
Pociąg wprost I i II klasa: Poczciwość, modlitwa, jałmużna, przystępowanie do sakramentów św.
Pociąg zwyczajny I, II i III klasa: Zachowanie przykazań boskich i wypełnianie obowiązków stanu swego.
Przybywa się: Kiedy Bóg chce.
Ceny miejsc: I klasa: Miłość do krzyża, II klasa: Pragnienie nieba. Walka przeciwko grzechowi. III klasa: Bojaźń boska i pokuta.“

Na odwrotnej stronie uwagi:

„1. Biletów na powrót nie ma.
2. Nie jest to jazda dla zabawy.
3. Dzieci, niemające rozumu, nic nie płacą, tj. jeżeli siedzą na łonie matki, kościoła św.
4. Uprasza się, nie brać innego pakunku, tylko dobre uczynki, bo inaczej to się spóźni pociąg, albo zostanie na przedostatniej stacyi.
5. Po całej drodze przyjmuje się podróżnych na każdem miejscu.“

Po co tu ironia, satyra, tworzenie śmieszności ultramontanizmu, kiedy nic lepszego wymyśleć nie można nad prawdę? Albożnie, szan. *Przeglądzie katolicki*, który pewnie pojedziesz do raju I klasą pociągu pospiesznego z dużym pakunkiem dobrych uczynków?

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kredyt hypoteczny dla posiadaczów małorolnych. — Co powinno być w programie pism ludowych? — Za oświatę grzeczność. — Smutne losy szkoły lipnowskiej. — Chłopskie serca. — Szlacheckl Mojżesz. — Marnotrawcy. — Solec. — Sztufada językowa.

Korespondent płocki potrącił o bardzo ważną sprawę: kredyt hypoteczny dla posiadaczów małorolnych. Przedewszystkiem broni Towarzystwo kredytowe ziemskie od zarzutu, jakoby miało „kierunek arystokratyczny“ w dążeniach i celach swoich, czyli — pomaga wyłącznie własności większej. Obrona nie jest gołosłowna: Na mocy przepisów z 12 lipca 1869 r. pożyczki w Królestwie Polskiem mogą być udzielane na posiadłości ziemskie, zawierające mniej niż morgów 90, jeżeli mają hypotekę gubernialną, granice ustalone, obcą posiadłością nie przedzielone, posiadają na własnym gruncie budynki gospodarskie. Zastrzeżenie tych warunków ma na względzie bezpieczeństwo prawne, materyalne, tudzież rękojmię wypłatności. Wyjątek stanowią grunty włościańskie, nadane Ukazem z 19 lutego 1864 roku. Ograniczeń tych wszakże nie poczy-

*) Może nie w ten sposób, ale zamierzono wystawę koncertami ożywić.

niło Towarzystwo, lecz prawo, do którego instytucya stosować się winna. Posiadłości włościańskie „ukazowe“ wtedy tylko mogą korzystać z kredytu, gdy mają przestrzeni więcej niż morgów 90. Wszelkie inne grunty chłopskie na równi z każdą drobną własnością ziemską, choćby rozległość ich nie zawierała 90 mor., mogą przystępować do pożyczek. Ale mniejsza o instytucyę i jej sławę, chodzi mi głównie o interesy posiadaczów małorolnych. W oddziale płockim ruch dość znaczny. Z rozparcelowanych dóbr Raszowo pod Wyszogrodem otrzymało pożyczki już 17 osad kmiecych, z których znaczna większość zawiera po kilkanaście do kilkudziesięciu morgów ziemi. Jedna, mająca rozległości 9 mor. 274 pręt., oszacowana przez delegacyę taksową na 658 rs., uzyskała pożyczki 300 rs. Osad włościańskich, stowarzyszonych w pomienionym oddziale, jest już niespełna 50, nie licząc wielu drobnych posiadłości, nie zatytułowanych hypotecznie osadami. Przyczyną tak wzrastającego ruchu w tym kierunku jest brak w ostatnich czasach kredytu prywatnego, działkowanie całkowite lub częściowe dóbr większych i wreszcie — jak się wyraża *Korespondent* — „przenikanie pojęć o dobrodziejstwie“ pożyczek, umarzających się odsetkami Towarzystwa. Otóż aby owo *przenikanie* było silniejsze i dało korzyść ciemnym dłużnikom, organ płocki radzi opracować i wydać treściwą książeczkę dla „prostaczków“ zrozumiałą, opisującą sposób przystępowania do pożyczek. Najprzód trzebaby wyłożyć znaczenie reskryptu ministra skarbu z 19 października 1872, objaśniającego Najwyższe postanowienie z r. 1871, dozwalające zaciągać pożyczki w listach zastawnych na posiadłości włościańskie. Wreszcie przewodnik ten zawierać powinien dokładną wskazówkę o dowodach, które złożyć należy właściwej dyrekcyi szczegółowej, oraz objaśnienie o kosztach z tego tytułu grożących, o tem, za co płacić trzeba i ile, tudzież — co się ma prawo otrzymać darmo. Dotychczas objaśnień udzielają przewodniczący i członkowie kolegiów dyrekcyjnych, ale zanim do nich kmieć dotrze, musi przejść przez długi szereg pośredników-wyzyskiwaczy. Projektodawca zwraca się z prośbą do szlachty, ażeby i ona wzięła do serca sprawę „uboższej braci.“ Każdy ze stowarzyszonych ma chociaż ogólne pojęcie o przepisach Towarzystwa, wreszcie w każdym powiecie zamieszkuje kilku delegatów taksowych, obeznanych dokładnie z prawami i przepisami instytucyi. Smutno, jeśli tych panów trzeba aż zachęcać gorąco i prosić o to, co powinno być ich moralnym obowiązkiem.

Jeśli myśl wydania broszurki znajdzie posłuch, upłynie jeszcze tyle czasu, zanim ją ktoś napisze, że pokątni doradcy zdążą dostatecznie napchać sobie kieszenie chłopskim groszem, a ciemni będą mogli błąkać się po manowcach do potu krwawego i... powietrza pod nogami. Szczególna rzecz! Na pomysł tak piękny wpadł *Korespondent płocki* (który nigdy przedtem na żadne pomysły nie wpadał). Dlaczego nie pisma ludowe? Wszak to powinno być w ich programie. Możeby jedno z nich zostało Kolumbem, gdyby mniej było opowiadań konkursowych i niekonkursowych, np. jak Kuba, wracając z karczmy, legł pod płotem, albo jakie między Berkiem i Maciejem zaszło starcie. O tem doskonale wie każdy Wojtek i Bartek, ale nie wie, jaką drogę trzeba obrać, aby wprost trafić do Towarzystwa kredytowego, nie zawadzając o pułapkę szachraja, jak zasiewać pola, aby ich nie wyniszczyć itd. Nie mówię, że lud ze swoich organów nie może skorzystać. Owszem, niedawno czytelnicy *Gazety świątecznej* dowiedzieli się, jakie środki są skuteczne na prędkie i łatwe wybudowanie szkoły? Trzeba być *grzecznym*. Dzięki zgodzeniu się na ten warunek, włościanie wsi Borkowa w Łomżyńskiem otrzymali od dziedzica bezpłatnie drzewo na budynek. Tym razem grzeczność polegała na wywiezieniu kamieni do parowów. W braku innej, dobra i taka miłość dla oświaty ze strony panów dziedziców.

Mniejsza o pobudki, gdy z nich czyny dodatnie się rodzą. Ale wybierzcie, czytelnicy, odpowiedni rodzaj pręgierza dla takich potwornych samolubów, co robią waryatami swych zmarłych rodziców, czcicieli światła, byle wydrzeć na własny użytek zapis na cele publiczne. Mieszkańcy Lipna wkrótce będą opłakiwać upadek czteroklasowej szkoły realnej. Brak funduszów nie pozwala jej dłużej istnieć. Lat kilka utrzymywała się jako tako z ofiarności obywateli okolicznych, lecz stopniowo zapał stygł tak dalece, że nareszcie pozostała mniejsza część ofiarodawców *wytrwalszych*, którym trzeba było po *kilkanaście* razy przypominać zobowiązanie ich własne. Obecnie składki prawie zupełnie już ustały, chociaż w roku bieżącym lepiej się dzieje niż dawniej ziemianom tutejszym. Możnaby jeszcze było wybrnąć z biedy, gdyby pp. Lipscy, spadkobiercy Sierakowskiej, nie zwalili drogą procesu jej znakomitych legatów. P. Józef Zieliński, prezes komitetu nadzorczego szkoły powyższej, rozpaczliwie woła o ratunek. Zasiłek roczny w sumie 1,500 rs. ma wystarczyć zupełnie. Przypuszczam, że w powiecie jest 20 myślących jednostek średnio zamożnych, tj. takich, którym 75 rs. rocznie nie zrobi wielkiego uszczerbku. Do 1 kwietnia pozostaje termin jeszcze. Jestem w obawie, ażeby za dwa tygodnie hańbą się nie okryło Lipnowskie.

Zapleśniałe tam serca, ale za to złote w Rypińskiem nie pod żupanem — pod siermięgą! W okolicy Dobrzynia nad Drwęcą w przeszłym miesiącu miała się odbyć licytacya ruchomości w majątku R. na zaspokojenie żądań jednego z płockich bankierów-lichwiarzy. Skazany na ten smutny los był poręczycielem tylko. W chwili, gdy miał nastąpić przykry akt, zjawiają się włościanie tejże wioski i składają 500 rubli; jeden 150, drugi 50, inni mniejsze kwoty. „Nie damy naszego pana żydom!“ — zawołali chórem. Sprzedaż nie przyszła do skutku. „Mógłby ktoś pomyśleć — powiada korespondent z tamtych stron — że owym panem musi być jakiś człowiek wyjątkowy, kiedy potrafił poruszyć twarde chłopskie serca i jeszcze twardszą... kieszeń. Tak jednak nie jest. Ów obywatel do laminarzów wcale nie należy. Całą bowiem jego zasługą było to, że podczas swego kilkunastoletniego gospodarowania na roli postępował ze swoimi ludźmi po przyjacielsku, nie traktował ich zgóry, obchodził się uczciwie i sprawiedliwie, wynagradzał za pracę dobrze i sumiennie. Zdawałoby się, że tak postępuje i postępować powinien każdy z obywateli, choćby ze względu na swój własny interes. Widocznie jest wszakże jakaś różnica, skoro jednego ratują chłopi od licytacyi, a drugiego — podpalają.“

Śród szlachty niespodzianie zjawił się Mojżesz. Zszedł on do swoich nie z góry Synai, tylko ze szpalt *Gazety rolniczej* z dziesięciorgiem przykazań: 1) Nie będziesz obciążał ziemi swojej długiem wymagalnym, któregoby sama w twojem ręku spłacić nie zdołała.

2) Nie będziesz brał pieniędzy ani podpisu bliźniego twego bez zupełnej pewności oddania.

3) Pamiętaj abyś terminów święcie dotrzymywał.

4) Szanuj fortunę i kochaj ziemię twoją.

5) Nie zabijaj mienia twego ryzykownymi wkładami.

6) Nie gospodaruj naoślep według wzorów cudzych: ucz się z przykładów i książek, a stosuj podług rozsądku własnego.

7) Nie kradnij sobie czasu, służbie płacy, strawy ni okrasy, a dobytkowi paszy.

8) Nie mów bliźniemu twemu fałszywego świadectwa o prowadzeniu gospodarki twojej.

9) Nie pożądaj na skromnej niwie twojej świetnych zysków bankierskich.

10) Ani blasku, ani sławy, ani zbytku, ani żadnej rzeczy, która z wielkiego świata jest. Będziesz miłował zagrodę swoją nadewszystko, a pracował na szacunek współobywateli twoich.

Szkoda, że ten Mojżesz nowoczesny nie otrzymał od groźnego Jehowy tej mocy, coby nakazywała ziemi rozstąpić się i pogrześć w ognistych czeluściach grzeszników-zbrodniarzy. Kara taka zdałaby się dla tych paniczów, co przed pięciu laty odziedziczyli magnacką fortunę, obejmującą dobra: Łagodki, Mołodów, Rozkosze w pow. mińskim, Drohobusz, Iljin, Ygolec (?), Podolany w pow. ostrogskim, Rzeczyca w rowieńskim, nadto prawem zastawu: Tomaszów, Jeżyny, Drozdów, Herbów, Balin, Antopol, Turczyn, Agatówka (w ostrogskim), wszystkie dobrze zagospodarowane z lasem przeważnie urzędowym, z hodowlą inwentarza wyższej rasy itd. Prócz tego *milion* rubli kapitału, cenne ruchomości i zbiory, stare wina cenione na *czterdzieści tysięcy* rubli. Otóż — jak pisze *Gaz. roln.* — dwaj sukcesorowie potrafili w ciągu lat czterech szalonym zbytkiem i nierządem doprowadzić się do takiego stanu, że cały ich majątek obecny, oszacowany teraz na rs. 380,307, idzie na licytacyę z ciężarem przeszło *milion* rubli długu! Dziś prawo starego Rzymu (*lex de prodiguis*), stawiające marnotrawców, po trzykrotnem napomnieniu cenzora, na równi z waryatami, byłoby za kruche na takich zbytników.

Wystawianie na sprzedaż weszło tak dalece na porządek dzienny, że już niewielkie robi wrażenie na ogół. Dawniej, gdy to było jeszcze nowością, zjawiali się od czasu do czasu gorączkujący kapitaliści z silną wiarą w ziemię. Teraz nawet chwile chłodnej rozwagi i obawy do tego stopnia, że nawet pożyteczny Solec wystawiony na sprzedaż wraz z zakładem kąpielowym napróżno czeka nabywcy, pomimo bardzo przystępnej sumy sprzedażnej (40,000 rs.). Poczekajmy trochę! Przyjdzie jaki niemiec i zachwyci nas, nabędzie źródła wód mineralnych, założy lecznice, zakłady hydropatyczne, których nie mamy. Wtedy ten Solec pogardzany pójdzie w górę i niejedno westchnienie spóźnionego żalu wywoła.

Nieuleczalne nasze cechy: miłość ku obczyznie i spóźnianie się. Pierwsza za kilka wieków zdołała naszpikować tak język cudzymi wyrazami, że nawet p. Arct musiał dopomódz oddzielnym słownikiem dla zrozumienia przez nas naszej mowy. Zamiast pożytku przyniosło to tylko szkodę, bo reporterzy rozkupili podręcznik i dla wykazania swej erudycyi sieją z podwójnym zapałem przebrzydły makaronizm, tak dalece, że nareszcie *Korespondenta płockiego* wyczerpała się cierpliwość; więc kiedy Walicki oddawna zebrał już wszystkie koszlawizny w grubej książce, on woła: „Zbierajcie prowincyonalizmy!“ Nie powinna nikogo wstrzymywać obawa — powiada — że język nasz przez obmywanie się we własnej krynicy nabierze owej wyrzucanej nam szorstkości i twardości.“ Ucieszyły mię niezmiernie, chociaż spóźnione, gromy pisma, więc przeglądam uważnie dalsze jego szpalty, aby sprawdzić kąpiel w krynicy — i znajduję: *bonifikować, atentowanie, plenipotencya, eksploatowanie, indywidua, eksport, lokalny, identyfikowany, konjunktura, konkluzya, inicyatywa, asumpt.*

Drogomir.

W SPRAWIE DATY URODZIN KOPERNIKA.

Od pana rektora Uniwersytetu warszawskiego odbieramy pismo następujące:

W *Tygodniku ilustrowanym* z dnia 7 maja 1887 roku (nr 227) b. redaktor tegoż p. Lu-

dwik Jenike umieścił artykuł p. t: „Stypendya wieczyste imienia Mikołaja Kopernika przy Uniwersytecie warszawskim," w którym, powołując się na § 9 ustawy stypendyalnej, zatwierdzonej przez JE. Pana ministra oświaty publicznej, 1) wypowiada życzenie, ażeby władza uniwersytecka nie rządziła się względami delikatności i ogłaszała nazwiska studentów, pobierających stypendya imienia Kopernika, i 2) robi uwagę, że podana w tymże paragrafie ustawy data urodzin Kopernika (11 lutego) jest mylną, albowiem Kopernik urodził się 7 lutego według starego a 19 lutego według nowego stylu.

W pierwszym roku po ustanowieniu stypendyum imienia Kopernika, zarząd Uniwersytetu podał do publicznej wiadomości za pośrednictwem tutejszych gazet (patrz np. dziennik *Wiek* nr 40 z 8/20 lutego 1877 roku) nazwisko stypendysty. W roku zaś zeszłym nazwiska stypendystów ogłosił w *Warszawskim dzienniku*, nr 99 z 5/17 maja 1887 roku. Mylne podanie dnia urodzin Kopernika w ustawie o stypendyum jego imienia było najważniejszym powodem, dlaczego nazwiska stypendystów nie były regularnie ogłaszane. Z przedsięwziętych na skutek mojej prośby przez prof. Wierzbowskiego poszukiwań, okazuje się, co następuje:

„Data urodzin Kopernika — 11 lutego — podana w § 9 ustawy stypendyum, rzeczywiście jest mylną. Lecz i p. Jenike, wskazując datę 7 lutego według starego, a 19 lutego według nowego stylu, również jest w błędzie."

„O dniu urodzin Kopernika nie posiadamy współczesnych (z końca XV wieku) i na wiarogodnych dokumentach opartych świadectw. Z tego powodu niektórzy uczeni, jak np. Hartknoch, Delambre, Humboldt i inni, nie podają w swych dziełach dnia urodzin Kopernika. Pierwsze wiadomości o tym dniu zawdzięczamy następującym astrologom i astronomom:

„Peucer Kacper (1525 — 1602), wyliczając wszystkich astrologów od najdawniejszych czasów do roku 1550 w dziele: *Elementa doctrinae de circulis coelestibus* (Witenberga, 1558) na karcie nr 7 verso o Koperniku mówi: „Nicolaus Copernicus Torinensis, Canonicus Varmiensis, natus anno 1473, Februarii die 19, hora 4, scrupulis 48."

„Eber Paweł (1511—1569) w *Calendarium historicum* (Witenberga, 1564, str. 101) mówi: „XIX Februarii, XI Calendas Martias. Nicolaus Copernicus nascitur anno Christi 1473, minutis 48 post quartam horam pomeridianam."

„Garcaeus Jan (1530—1575) w *Astrologiae metodus* (Bazylea, 1576, str. 138) w horoskopie Kopernika pisze: „Genitura domini Nicolai Copernici, nati anno 1473, Februarii die 10, hora 4, 38 minutis, post meridiana."

„Moestlin Michał (1550—1631) w przedruku dziełka Joachima Retyka *Narratio prima* (str. 46) twierdzi: „Nicolaum Copernicum natum referunt anno 1473, die 19 Februarii, hora 4, scrupulis 48, post meridiem, die Veneris ante cathedram Petri."

„Te są najdawniejsze wiadomości o dniu urodzin Kopernika. Trzech autorów, mianowicie Peucer, Eber i Moestlin, są w zgodzie co do dnia 19 lutego. Który zaś z nich najwięcej zasługuje na wiarę.

„Peucer był zięciem Melanchtona; ożenił się z jego córką w roku 1551; na tem weselu, na skutek specyalnego zaproszenia Melanchtona (*Opera*, tom VII, list nr 4726), obecnym był Joachim Retyk; z wszelką więc prawie pewnością twierdzić można, że Peucer od Retyka miał datę urodzin Kopernika; Retyk zaś musiał ją dokładnie wiedzieć, powszechnie bowiem jest wiadome, jak bliskie stosunki łączyły go ze sławnym astronomem. W XVI wieku był zwyczaj, że astronomowie i astrologowie wzajemnie komunikowali sobie datę swych urodzin i wyciągali z niej według położenia gwiazd w danej chwili horoskopy; współcześni zatem mogli mieć tę datę i od samego Kopernika: tem się również tłomaczy i dokładność daty co do podania w niej godziny i minut.

„Eber mógł wziąć podaną przez siebie datę z dzieła Peucera; ale też mógł ją również mieć z innych równie pewnych źródeł, był bowiem współczesnym Kopernika, a nadto osobiste i częste stosunki łączyły go z polskiemi Prusami, ojczyzną astronoma; jego wiadomość można więc uważać i przyjąć jako sprawdzian i potwierdzenie prawdziwości daty, podanej przez Peucera.

„Toż samo i Moestlin. Jako prawie współczesny mógł dostać datę ze źródeł pewnych, chociaż ze źródeł drugiej ręki, na co wskazuje użyty przezeń wyraz *referunt*, który jednakże można uważać jako dowód, że źródłem jego wiadomości było dzieło Peucera. Moestlin zresztą, przez późniejszych uważany za powagę, nie mógł opierać się na niepewnych źródłach. „Ob Moestlini auctoritatem" przyjęli tę datę, Boissard, Melchior Adam, Mikołaj Mulerius, wreszcie Piotr Gassendi (*Vita Copernici*, pag. 4) i Lichtenberg (*Vermischte Schriften*, VI, 117), powaga których została znowu uznaną prawie przez wszystkich późniejszych uczonych, nie wyłączając Ignacego Polkowskiego (*Żywot Mikołaja Kopernika*, str. 101) i Leopolda Prowe (*Nicolaus Copernicus*, Berlin, 1883, tom I, str. 85).

„Skądże jednak Garcaeus wziął datę 10 lutego? Jest to zagadka, której rozwiązanie zdaje się zbytecznem wobec przytoczonych wyżej świadectw i wyjaśnień. Kto przeglądał jego dzieło *Astrologiae metodus*, w którem stawia horoskopy rozmaitych więcej niż stu osób, ten nie będzie się dziwił, że dokładnych danych o każdej z nich mieć nie mógł. Garcaeus zresztą urodził się w Hamburgu, w Gryfii i Nowym Brandenburgu pełnił obowiązki pastora i superintendenta, i o ówczesnej Polsce miał słabe pojęcie, bo np. Mikołaja Radziwiłła Czarnego nazywa (str. 279), „Radeuilus dux Lituaniae," Jana Przerembskiego (str. 278) — „archiepiscopus Guisensis;" mógł więc i o dniu urodzin Kopernika mieć mylne wiadomości, lub sam dobrą wiadomość sfałszował dla postawienia odpowiedniego horoskopu.

„Niektórzy pisarze, tak starsi, jak i nowsi (np. Weidler w „Historia astronomiae," Lalande w „Traité d'astronomie" i inni) podają jako dzień urodzin Kopernika — 19 stycznia 1472 roku. Ci uczeni opierają się na świadectwie włoskiego astronoma Franciszka Junctinus'a (1523—1580). Zauważyć jednak należy: 1) że Junctinus był włochem i nie wiadomo, skąd mógł mieć tę datę; 2) podaną przezeń datę odrzuca nawet włoski atronom Jan Baptysta Riccioli (1598—1671) w dziele: *Almagestum novum*, tomus I, pars I, pagina XLI; 3) Junctinus sam sobie przeczy, albowiem, na co żaden uczony nie zwrócił dotąd uwagi, w swoim *Calendarium astrologicum* (Lion, 1573) na karcie 290 verso pod dniem *19 stycznia* podaje: „Nicolaus Copernicus Torinensis, Canonicus Varmiensis, natus anno 1472, hora 4, min. 48 post meridiem," niżej zaś na karcie 292 twierdzi znowu pod dniem *19 lutego*: „Nicolaus Copernicus nascitur anno Christi 1473, minutis 48, post quartam horam pomeridianam." Ten sam błąd (powtórzenie dwóch sprzecznych danych) powtórzony został i w następnem wydaniu *Calendarium astrologicum*, pomieszczonem w *Speculum astrologiae*, Lion, 1581, str. 1141 i 1146. Jego więc świadectwa nie mamy zupełnie brać w rachubę, tem bardziej gdy sam mówi (str. 1140), że jego „calendarium ex omnium nationum annalibus, chronicis et historiis excerptum est:" widocznie bez żadnej krytyki i znajomości rzeczy.

„Tak więc możemy przyjąć za pewne, że Kopernik urodził się 19 lutego i według starego stylu albo kalendarza juliańskiego, gdyż innego wówczas jeszcze nie było. Dzień ten w zwyczajnym roku odpowiada 3 marca, w przestępnym zaś 2 marca według kalendarza gregoryańskiego, albo nowego stylu, i to, rozumie się tylko w bieżącem stóleciu; w przyszłym bowiem wieku, gdy różnica między obu stylami wynosić będzie trzynaście dni: 19 lutego starego stylu odpowiadać będzie w zwyczajnym roku 4-mu, a w przestępnym — 3-mu marca."

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum dóbr państwa zamierza ustanowić podatek w wysokości rozmaitej dla różnych miejscowowości, gdzie są kopalnie lub warzelnie soli kuchennej, a mianowicie w gub. archangielskiej i wołogodzkiej — pół kopiejki, permskiej — 1 kop., astrachańskiej, taurydzkiej, besarabskiej, chersońskiej i warszawskiej — 8 kop. od puda. Podatek zastosowany będzie również do soli wydobywanej w okręgu wojska kozaków duńskich, uralskich i terskich. Minister dóbr państwa będzie posiadał prawo nadania ulgi na lat 5 co do opłaty podatku od przemysłu solnego w gub. archangielskiej, wołogodzkiej, kraju Zakaukazkim i Syberyi. Sól z gub. astrachańskiej opłaca podatek tylko przy przewożeniu około Carycyna.

Bilety kredytowe nowego typu wkrótce wypuszczone będą w obieg od 1 do 25-rublowych. Sturublowe pozostaną bez zmiany.

Prośbę wytwórców spirytusu w Królestwie Polskiem o pozwolenie wywozu do Prus okowity przez komory i przykomórki, ministeryum rozstrzygnęło pomyślnie.

Siarka. Gazeta *Kaspij* donosi, iż o 36 wiorst od Geok-Tepe odkryto ogromne pokłady bardzo dobrej siarki.

Flota amurska. General-gubernator kraju Nadamurskiego, baron Korf, stara się o utworzenie na rzece Amurze flotyli z kanonierek dla obrony drogi wodnej od chińczyków. W warsztatach władywostockich zrobiono już plan kanonierek. Będą one długie na 135 stóp, zanurzające się w wodzie na trzy stopy.

Bibliografia. A. Ciszewski, *Wilgoć i grzyb drzewny w budowlach*, Warszawa, str. 70.

— K. F. Becker, *Historya powszechna* (tłom. M. Wołowski), zeszyt 90—113, Warszawa, H. Oławski.

— M. Czesław, *Przygody Marynki Wojnikówny* na warszawskim bruku, Warszawa, Prószyński, str. 24.

— M. Malinowski, *Rozmowy nauczyciela z gospodarzami* — o powinnościach rodziców, Warszawa, „Zorza," str. 94.

— Dr L. Natanson, *O uczeniu rzemiosł*, Warszawa, str. 34. (Autor przedstawia rozmaite sposoby i środki kształcenia rzemieślników).

— Dr Esperanto, *Dua libro de l'lingvo internacia*, Warszawa, str. 50.

— *Prace filologiczne*, tom II, zesz. 2, Warszawa, Wende.

— *Sprawozdanie* wydziału Towarzystwa Bratniej Pomocy słuchaczów Politechniki we Lwowie, 1886/7.

— A. Bukowski i M. Aleksandrow, *Badanie herbaty* i herbata warszawska, z 3 tabl. litogr., Warszawa, „Wiadom. Farmaceut.", str. 15.

— K. Jurkiewicz i A. Weinberg, *Badania nad papierami krajowymi*, ze względu na ich własności fizyczne i skład chemiczny. I, Papiery dokumentowe — z 2 drzeworyt. i tabl. mikrofotograf. Warszawa, str. 45. (Autorowie doszli do wniosku, że papiery nasze tego rodzaju dorównywają zagranicznym, a nawet przewyższają je).

— J. I. Kraszewski, *Wizerunki książąt i królów polskich* (z rycinami Pilatego), zeszyt III, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— P. Chmielowski, *J. I. Kraszewski*, zarys biograficzno-literacki, Kraków, Gebethner i Wolff, str. 534.

Literatura. Znany historyk, profesor uniwersytetu petersburskiego, Karejew, tłomaczy „Dzieje Polski" Bobrzyńskiego.

— *Kijewlanin* zamieścił w odcinku przekład pracy Prusa p. t. „Z legend starożytnego Egiptu."

— *Kiewskoje Słowo* pomieściło utwory Szymańskiego: „Srul z Lubartowa."

Banderole. Dla zapobieżenia fałszerstwom, na komorach celnych będzie nakładana na paki z herbatą banderola. Nadto wysyłką tego towaru na miejsce przeznaczenia zajmą się urzędnicy komory.

Przepisy o rybołówstwie w Rosyi opracowano.

Kosztorys urządzenia portu do handlu naftą w Odesie sporządzono w ministeryum komunikacyi. Wydatki obliczono na 2,000,000 rs.

Koleje. Naczelnicy ruskich dróg żelaznych otrzymali od władzy głównej polecenie przyjmowania od interesantów do przewozu towary bez ważenia na stacyach. Oddawca sam na frachcie zaznaczać będzie, jaką ilość funtów lub pudów wysyłka zawiera. W razie zaś sprawdzenia przy kontroli mniejszej wagi od rzeczywistej, za nadwyżkę zatajoną będzie ściągana płaca potrójna.

— Stacye kolejowe, pozostające w bezpośrednim związku z drogami ruskiemi, otrzymały polecenie odbierania piśmiennych zrzeczeń się pretensyj do wynagradzania za braki przy odbiorze towarów, wskutek niedobrego opakowania. Poświadczenia te będą zaopatrzone w marki pięciokopiejkowe.

— Rada państwa udzieliła 31,461,000 rs. kredytu ministrowi komunikacyi na wydatki nadzwyczajne przy wzmacnianiu kolei rządowych, tudzież na ulepszenie prywatnych.

Komisya, zajmująca się rewizyą taryf celnych, uznała za konieczne pozostawić dotychczasowe cło fiskalne od ołowiu po 10 kop. od puda. Na rury ołowiane postanowiono nałożyć cło tej samej wysokości, co od blachy ołowianej, to jest po 30 kop. od puda.

Wydalono w tych dniach znaczną liczbę robotników z fabryk broni w Spandawie i Gdańsku.

Z Kolonii donoszą, że w Siegen odebrał sobie życie kasyer miejskiej kasy oszczędności. Niedobór wynosi 500,000 marek.

Do departamentu górnictwa kilku przemysłowców górniczych wystąpiło z przedstawieniem utworzenia przy zakładach kopalnianych węgla kas ratunkowych, z których robotnikom podczas ich choroby wydawane byłyby wsparcia.

Jarmark na wełnę w Warszawie rozpocznie się 15 czerwca i trwać będzie dni cztery.

Uniwersytet petersburski. Pomiędzy tematami konkursowymi jest jeden wyznaczony przez prof. Karejewa p. t. „Kwestya włościańska w Polsce w epoce rozbiorów."

— Kandydat nauk przyrodniczych, doktor medycyny Stanisław Przybytek, bronił rozprawy „Badania organicznych dwutlenków." Przyznano mu stopień magistra chemii.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

St. W. I to mamy drukować! Szkoda, że Pan, zamiast 12, nie przełożył dwu wierszy z *Ewg. Oniegina*. Byłoby mniej zmarnowanej pracy, a pożytek jeden.

Sech. Niech pan nam wskaże swój lub czyjś adres, a najlepiej — porozumie się ustnie.

Sławomirowi. Prosimy o czytanie dalsze, a zagadka zniknie.

Studentowi. Ani zgodzić się z panem, ani dogodzić nie możemy. Prasa jest i być musi odbiciem swojego czasu; inaczej — traci racyę bytu. Rozprawy o każdym z naszych znakomitych pisarzów istnieją; trzeba tylko poszukać.

P. Wiersz rzewny, w znacznej części poprawny, ale bardzo podobny do tej, którą opiewa — ogołocony z barw poetyckich. Nadto wyrażenia takie, jak: „lasy twoje nie służą *miejscem* spoczywania" — są niepolskie, a rymy: „szkli się — wisi" — naciągane. Piszcie, kochany Panie dalej, ale za ocenę Waszych utworów nie przysyłajcie nam marek, które zatrzymujemy do Pańskiego rozporządzenia.

P. Miecz. Sl. Wiersz „Z moich myśli" artystycznie słaby, drugi, lepszy, nie do druku.

Z. P. Z powodu nieobecności autora artykuł u odpowiemy później.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Pol. ma honor prosić pp. Artystów tutejszych, malarzy i rzeźbiarzy, umieszczających dzieła swoje na Wystawie Towarzystwa, aby w razie zażądania wysłania z Wystawy za granicę obrazów lub rzeźb w bronzie, jeżeli takowe mają być później zwracane z zagranicy pod adresem Towarzystwa, uprzedzali o tem Komitet Towarzystwa, a to dla zabezpieczenia *ram* od obrazów i prac *w bronzie* jako wyrobów miejscowych, od opłaty cła przy powrotnem odbieraniu onych z komory składowej w Warszawie, a tem samem dla uniknienia znacznej bardzo części kosztów przesyłek zagranicznych przez opłatę cła w złocie, tem więcej, iż Towarzystwo nie przyjmuje na swój rachunek kosztów przesyłek dzieł sztuki, które znajdując się już na Wystawie Towarzystwa, wysyłane zostają na żądanie artysty za granicę i następnie zwracane stamtąd pod adresem Towarzystwa.

Komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Pol. ma honor prosić pp. Artystów o wczesne o ile można nadsyłanie prac swoich na Wystawę Towarzystwa przed terminami zakupowymi, a to w zastosowaniu się do art. 41 Ustawy Towarzystwa. Według przyjętego dotąd porządku, termina zakupowe przypadają w drugiej połowie miesięcy marca, czerwca, września i grudnia. Nadmienia przytem Komitet, dla wiadomości pp. Artystów za granicą przebywających, iż Towarzystwo przyjmuje na swój rachunek koszta przesyłek i cła za dzieła ich, o ile takowe przyjęte zostają na Wystawę Towarzystwa, przyczem uprasza się pp. artystów rzeźbiarzy, aby w razie zamierzonego nadesłania na Wystawę pracy *w bronzie* raczyli uprzednio znieść się w tym względzie z Komitetem Towarzystwa.

Komitet Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Pol. podaje do wiadomości pp. Artystów malarzy, rzeźbiarzy i budowniczych, iż Regulamin corocznej czasowej *Wystawy Konkursowej* Towarz., odbywającej się w miesiącu styczniu, zmieniony został w ten sposób, iż poczynając od roku 1889, Wystawa urządzaną będzie *kolejno* dla każdego z działów sztuki, a mianowicie:

w roku 1889 dla działu Malarstwa,
w roku 1890 dla działu Rzeźby,
w roku 1891 dla działu Architektury, i tak następnie w tym samym, kolejnym porządku. Co zaś do nagród, takowe powiększono i oznaczono w jednakowej ilości dla wszystkich działów Wystawy, a mianowicie: nagrody pierwsze po rs. 600, nagrody drugie po rs. 300, nagrody trzecie po rs. 200, płatne w biletach bankowych. Zmiany powyższe uczyniono zostały w celu zachęcenia pp. Artystów do brania szerszego udziału w Konkursach Towarzystwa.

Jednocześnie zmieniono i Regulamin corocznej czasowej Wystawy Konkursowej sztuki *Ornamentacyjnej i Dekoracyjnej*, urządzanej przez Towarzystwo w m. październiku, w ten sposób, iż, poczynając od roku bieżącego, we wszystkich oddziałach onej pierwsze nagrody wynosić będą po rs. 100 i drugie po rs. 50, płatne w biletach bankowych.

Szczegółowe Regulaminy obu pomienionych Wystaw Konkursowych, na żądanie interesowanych wydaje Kancelarya Towarzystwa.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Марта 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.